

Scena I: Polska wyszła na ulice

Scena II: Cała prawda o tych ACTA

Scena III: Jedno kliknięcie myszką od legalu

Scena IV: Atak na ACTA – nasza gra planszowa

**PRZEKROJ**

5 (3474) / 30 STYCZNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT



# AKT I ACTA

Konsultanci: 1. Business Software Alliance, Sołtysiński, Kawecki & Szlęzak; 2. Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT; 3. Fundacja Ochrony Twórczości Audiowizualnej; 4. Krajowa Izba Producentów Audiowizualnych; 5. Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji; 6. Polska Izba Komunikacji Elektronicznej; 7. Polskie Stowarzyszenie Wytwórców Produktów Markowych ProMarka; 8. Stowarzyszenie Aktorów Filmowych i Telewizyjnych SAFT; 9. Stowarzyszenie Architektów Polskich; 10. Stowarzyszenie Artystów Wykonawców Utworów Muzycznych i Słowno-Muzycznych SAWP; 11. Stowarzyszenie Autorów i Wydawców „Polska Książka”; 12. Stowarzyszenie Autorów ZAiKS; 13. Stowarzyszenie Dystrybutorów Programów Telewizyjnych „SYGNAŁ”; 14. Stowarzyszenie Filmowców Polskich; 15. Stowarzyszenie Ochrony Własności Przemysłowej; 16. Stowarzyszenie Polski Rynek Oprogramowania PRO; 17. Stowarzyszenie Twórców Ludowych; 18. Stowarzyszenie Wydawców REPROPOL; 19. Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych KOPIPOL; 20. Telewizja POLSAT SA; 21. Telewizja Polska SA; 22. TVN SA; 23. Związek Artystów Scen Polskich ZASP; 24. Związek Artystów Wykonawców STOART; 25. Związek Polskich Artystów Fotografików; 26. Związek Polskich Artystów Plastyków; 27. Związek Producentów Audio Video ZPAV

INDICES  
171-924

ISSN 0033-2488  
9 770033 248205

052



**Daniel Silva**, amerykański pisarz, jest od wielu lat powszechnie uważany za mistrza powieści szpiegowskiej. Powołał do życia kultową już postać superszpiega Gabriela Allona, którego niezwykle losy śledzą **miliony czytelników na całym świecie**. Ten tajemniczy **agent o wielu twarzach** zostaje uwikłany w najbrudniejsze potajemne sprawy współczesnego świata. Czy to, że stoi – jak mu się wydaje – po właściwej stronie rozgrzesza jego metody?

**Walka z terroryzmem**, przestępczymi interesami, spiskami przeciw społeczeństwu, zapobieganie światowym tragediom, wymaga nie tylko finezyjnych gier, ale i bezkompromisowych akcji.

**Gabriel Allon** po raz kolejny wraca do świata, o którym chciał już zapomnieć. Pełna zaskakujących zwrotów akcji, opowiedziana wartko **Sprawa Rembrandta** to nie tylko świetna rozrywka. To również przypomnienie, że są na tym świecie ludzie, którzy dla pieniędzy zrobią wszystko.

# Daniel Silva

„Za każdą fortuną kryje się zbrodnia”.  
Honoré de Balzac

## Sprawa Rembrandta

powieść sensacyjna

# „Za każdą fortuną kryje się zbrodnia”

Honoré de Balzac

Bestseller „New York Timesa”  
**Daniel Silva**

Reguły Moskwy

**Daniel Silva**

Uciekinier

Szukajcie w księgarniach **9 powieści Daniela Silvy** wydanych w Polsce

# PRZEKROJ

Założony w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Eile

„Przekrój” w sieci  
OLUF SZEWczyk

– Cóż, chłopce... – szef z niesmakiem odłożył podanie na biurko, przed którym sterczał, z miną naleźycie durnowatą, Stasiek Bron-tonaur. – Czy słyszałeś, co stało się z O., tym z administracji? Stasiek pokornie skinął łbem. Wszyscy w pracy wiedzieli. O. wyjechał na urlop, pierwszy od 13 lat. W dieple kraje! O niczym innym nie rozmawiano podczas trzymi-nutowej przerwy na wc. Taki cud!

– Wątpię – westchnął „El Magnifique”. – Otóż O. nie zdążył na przesiadkę, samolot opóźniła mgła. A bagaż omyłkowo poleciał na Cypr. Z lekami na alergię. Po 11 godzinach uziemieni pasażerowie dostali posiłek: fistaszki, na które O. jest uczulony. Nieborak zaczął rzezić. Służby porządkowe uznały to za przypadek groźnej infekcji. O. trafił do izolátky. Po 19 godzinach usłyszał, że jednak nie ma ptasiej grypy. Ale samolot zastępczy odleciał. Nie pomogły tłumaczenia, musiał znów zapłacić za bilet. Wykrzyknęszy w rozpacz brzydkie słowo na „K”, zwrócił uwagę redaka. Długo słuchał o smoleńskich tezach Macierewicza i „przełomie drzazgowym”, aż w końcu, nieszczęsny, nie zdezorientowany, nie zdzierzył. Obez-wiedniony paralizatorem ocknął się w areszcie. Ze stemplem „Persona non grata”, eskortowany na pokład przez strażników z psami, sześć godzin wiał się w męce, nie mogąc zmruczyć oka. Siedział obok osika, który nienawidził dezodorantów, za to kochał słuchać głośno Grzegorza Turnaua zmkisowanego z chórem chińskiej armii na punkowym podkładzie. Po wyładowaniu obu zatrzymano na podstawie ACTA. Byczka tropiono od dawna, ścigał muzykę z sieci. O. wciąż czeka na proces – trwają ustalenia, czy jako świadek, czy współwinny. Dlatego, synu – tu Bóg kierownik wzrok wbił w Staśka stalowy – zgody na urlop nijak dać ci nie mogę. Mam sumienie. Więcej o Staśku na Twitterze, FB, G+, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), w tabelach edycji „Przekroju”.

# W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

... że **Jarosław Kaczyński** zamierza stanąć na czele opozycji wobec podpisania umowy ACTA, za którą europosłowie PiS głosowali w opozycji do europejskich komunistów. Żeby być w opozycji do Platformy, Kaczyński jest skłonny już nie być w opozycji do komunistów. Przekonujące.

... że **Marek Migalski, Solidar-na Polska**, onegdaj PiS, przyznał, że nie miał pojęcia, iż w europarlamencie głosował za ACTA. Wyznał, że zasadą jest głosowanie połączone z nieświadomością tego, co się uchwała. Poseł nie zamierza wyciągnąć wobec siebie żadnych konsekwencji.

... że **NIK** uzyskała po cichu nie-wiarygodnie wielkie i szerokie uprawnienia kontrolne, pozwala-

jące na wgląd w życie prywatne i intymne kontrolowanych. Przedstawiciel izby zapewnił, że NIK absolutnie nie zamierza korzystać z tych możliwości. Dlaczego w takim razie o nie zabiegała – nie usłyszeliśmy.

... że **Antoni Macierewicz** został dotknięty aktem sabotażu podczas próby prezentacji kolejnej wersji odbrzozowanej legendy, kiedy usiłował nawiązać połączenie skype'owe. Poczekamy na jeszcze wyraźniejsze znaki.

... że **Zbigniew Hołdys**.

... że **prezydent Komorowski** chciałby, zmieniając ustawę o samorządach, zapewnić w praktyce nieodwołalność władzy prezydenckiej w miastach. Bo co to ma być?

Wybierają i odwołują, wybierają i odwołują? Niech się zdecydują. Ci wyborcy. Ale najlepiej zdecydować za nich. Bez jednego wystrzału z dwururki.

... że **Polacy** w piłkę ręczną grają.

... że **autor któregoś z portali** stworzył nowy gatunek tekstu dziennikarskiego, tzw. recenzję smoleńską, gdzie metodologia nakazuje odczytanie każdego możliwego utworu artystycznego, np. filmu „Rzeź” Polańskiego, przez pryzmat katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. Widzimy to jak przez mgłę.

... że **zima zaskoczyła drogowców**, bo już się obawialiśmy, iż w tym roku fraza się zmarnuje.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

Jaki powinien być Internet według internautów?  
Szybki i wolny.

Książkę polecają

WP.PL

ksiazki.wp.pl

CRIME

Zbrodnia w Bibliotece

Militaria.pl  
Shooting & Outdoor

dlaStudenta.pl

MUZA SA  
www.muza.com.pl



Listy ślij tu: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)



## PRZED WSZYSTKIM

- 6 **Fotoreportaż** – Polska nie chce ACTA
- 8 **24 stycznia 2012 r. przeciw ACTA** protestowały tysiące osób. Tekst: Maciej Konieczny
- 10 **Czy w obronie swoich zysków międzynarodowe koncerty powinny mieć do dyspozycji środki karne** i szybkie, nadzwyczajne procedury, które stawiają na szali takie wartości jak prywatność i wolność wypowiedzi? – pyta Katarzyna Szymielewicz
- 12 **Jeśli coś odwiedzie przyzwyczajonego do ściągania plików internautę od „piracenia”** kultury w sieci, to tylko możliwość wygodnego, legalnego i taniego zakupu. Najlepiej jednym kliknięciem myszki – zauważa Miłada Jędrzyk
- 14 **Anonimous nie mają przywódców, namierzają wspólne cele, bywają groźni.** Tekst: Krzysztof Pacewicz
- 16 **Atak ACTA – zagraj z potworem.** Autorzy gry: Zuzanna Siwek, Krzysztof Pacewicz, Zbigniew Andrzejczak
- 18 **Rezygnacja z uprawnień państwowych na rzecz instytucji prywatnych w walce o obronę praw własności intelektualnej jest niedopuszczalna** – mówi Wojciech Wiewiórowski, generalny inspektor ochrony danych osobowych w rozmowie z Olafem Szewczykiem
- 20 Fragmenty opublikowanego przez Centrum Cyfrowe raportu „**Obiegi kultury. Społeczna cyrkulacja treści**”
- 22 **O proteście przeciwko prywatyzacji kaliskich przedszkoli** – donosi Igor Strapko
- 23 **Naprzód!** – felieton Adama Ostolskiego
- 24 **Co ma Donald Tusk do Węgier?** – pyta Adam Bodnar
- 26 **Sytuacja na Węgrzech dojrzała do tego, by zajęła się nią Komisja Europejska** – pisze Piotr Bogdanowicz
- 28 **Felieton Tomasza Piątka** Prawdziwa twarz Tuska

- 29 **Z drugiej strony lustra** – felieton Anny Grodzkiej
- 30 **Czy Sheldona Adelsona stać na prezydenta USA?** – pyta Łukasz Wójcik

## CYWILIZACJA

- 34 **Papierowe podręczniki to przeżytek?** – pyta Olaf Szewczyk
- 37 **Też pytanie!**

## KONIEC Z KULTURĄ

- 38 **Fotografowała arystokratyczne polowania, poleską prowincję i nocną Warszawę.** Mówiono też o niej – rządowa propagandzistka. Kim naprawdę była polska fotografka Zofia Chomętowska?
- 41 **Będę matką** – ogłasza w rozmowie z Anną Gacek Beth Ditto, wokalistka Gossip. Ale jeszcze nie teraz, najpierw nowa płyta, potem koncerty. Także w Polsce

## RECENZJE

- 42 **Film:** – Salwa o „Róży” Smarzowskiego
- 43 **Muzyka:** Gromnicka o „Born to Die” Lany del Rey
- 44 **Książki:** Sendecki o „Trzeciej Rzeszy” i „Literaturze faszystowskiej w obu Amerykach” Roberta Bolano
- 45 **Gry:** Szewczyk o „The Snowfield”
- 46 **Teatr:** Wakar o spektaklu „Według Bobczyńskiego”

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 47 **Stopklatka**
- 48–50 **Rozmaitości z krzyżówką.** Lewomyślnie Kurkiewicza, ładnymi rzeczami Salwy
- 3, 37, 50 **Raczkowski**

## PRZEKROJ

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00;  
automatyczna centrala telefoniczna:  
22 4630 + numer wewnętrzny;  
łączenie przez telefonistkę 22 628  
34 01 do 09, www.przekroj.pl,  
e-mail: redakcja@przekroj.pl lub  
imie.nazwisko@przekroj.pl  
**REDAGUJE ZESPÓŁ:** Roman  
Kurkiewicz (redaktor naczelny),  
Piotr Witek, Weronika Kostyrko,  
Katarzyna Czarnecka  
**PRZED WSZYSTKIM:**  
wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz  
Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczut  
**CYWILIZACJA OD ŚRODKA:**  
nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk  
stale współpracuje Paweł Francuz  
**KONIEC Z KULTURĄ:**  
kultura@przekroj.pl, Jacek  
Tomczuk; stale współpracują  
Jacek Wakar, Marcin  
Sendecki, Karolina Pasternak,  
Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewnia,  
Sebastian Frackiewicz, Anna  
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek  
Sieradzki, Bartek Winczewski, Jan  
Skolimowski, Anna Gromnicka  
**ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:**  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin  
Pieszczyk; stale współpracuje  
Kaliber 45  
**PRACOWNIA GRAFICZNA:**  
Andrzej Figatowski  
**FOTOEDYCJA:** foto@przekroj.pl,  
**KOREKTA:** Ling Brett  
**PROJEKT GRAFICZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**ARCHIWUM:** Dominika Bok  
**OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE  
DO DRUKU:** Bogumiła Kreczmańska,  
Wanda Wójcik, Tomasz Kieras  
**STRONA INTERNETOWA I IPAD:** Marcin  
Cichoński, Renata Wróbel

## GREMI GRUPA

**WYDAWCA:** Presspublica Sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa  
**PREZES ZARZĄDU:** Dariusz Leśniak  
**WICEPREZESI:** Maciej Kutak,  
Tomasz Wróblewski  
**PROMOCJA I MARKETING:**  
promocja@przekroj.pl,  
Jakub Maszkowski, Milena Ostojka  
**BIURO REKLAMY:** Presspublica  
Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838  
Warszawa faks: 22 628 05 88,  
22 463 00 00; automatyczna  
centrala telefoniczna: 22 4630  
+ numer wewnętrzny; łączenie  
przez telefonistkę 22 628 34  
01 do 09 **KIEROWNIK ZESPOŁU  
SPRZEDAŻY:** Filip Weichert – 22 463  
01 88 reklamainfo@presspublica.pl  
**DRUK:** RR Donnelley.  
Artykułów niezamówionych  
nie zwracamy. Redakcja  
zastrzega sobie prawo do zmiany  
oraz skrótów w nadesłanych  
artykułach i listach.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany  
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

## NA POCZĄTEK

### Pokolenie ACTA



**ROMAN  
KURKIEWICZ**  
REDAKTOR  
NACZELNY

**Z**awsze zdumiewają zdumione twarze polityków, kiedy napotykają społecznicy, nie doniezuważenia opór. Kilkadziesiąt niezwyklej manifestacji, często w miastach, które ich nie pamiętają od dawien dawna. Sprawa ACTA eksplodowała, ponieważ kumulacja gniewu z jednej strony i arogancji z drugiej wytworzyła masę krytyczną. Na ulicach spotkali się Te i Ci, które i którzy dotąd nie korzystali z takich okazji. Ale teraz zrozumieli, że symboliczna moc zamachu na naszą wolność, podmiotowość obywatelską, zapowiedź polityki represji, wyrażona w impertynencji przygotowywania i podpisania umowy ACTA, ustawia rzeczywistą barykadę. Bo to nie niemieccy antyfaszyści prywatyzują polskie przedszkola, wprowadzają płatne studia, fundują bezrobocie, budują

cywilizację śmieciówek, nie potrafią wprowadzić zasad korzystania z recept, bogatych bogacą, ubogich eksmitują.

Władza ma jedną odpowiedź: nasi przeciwnicy, wrogowie naszej ACTA, to „idioty”. „Nie ugniemy się przed szantażem cyfrowych terrorystów”. Donald Tusk będzie twardy jak Roman Bratny. Śmieszne.

Anonimowi są rzeczywistymi ludźmi. Nawet jeśli mają kilkanaście lat i nie zawsze subtelne hasło na transparencie. To oni są społeczeństwem. A polski mainstream polityczny – władza wraz opozycją, która głosowała za ACTA, nie wiedząc, za czym się opowiada – rozpoczął swoją lewicę ku nicości. Tusku, mniej macyzmu, więcej nasłuchu i namysłu. Chociaż chyba za późno, smuga cienia została przekroczona.



Okładka:  
Grzegorz  
Laszuk

#### PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

**PRENUMERATA REDAKCYJNA** Cena prenumeraty 2012 r.: Roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł. Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195. **PRENUMERATA KOLPORTERSKA** oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe **PRENUMERATA E-WYDANIA** www.egazety.pl **PRENUMERATA ZAGRANICZNA** Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

#### DOŚĆ NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

## 2011 EDITION INNOWACYJNY SYSTEM WYPRZEDAŻY



**RABAT  
8000 zł**

**SPECJALNE  
WYPOSAŻENIE**

**KREDYT  
50/50 0%**

2011

POLO 2011 EDITION

### Polo 2011 Edition z rabatem 8000 zł.

Wybierając Volkswagena, zawsze oczekujesz czegoś wyjątkowego. Właśnie dlatego stworzyliśmy specjalne, bogato wyposażone modele 2011 Edition. Atrakcyjny rabat, kredyt bez żadnych dodatkowych opłat, prowizji i z oprocentowaniem 0% oraz **promocyjne ubezpieczenie 2,9%** stanowią prawdziwą innowację w wyprzedaży. Odwiedź salon Volkswagena. Sprawdź, jak wiele zyskasz, decydując się na model 2011 Edition.



Das Auto.

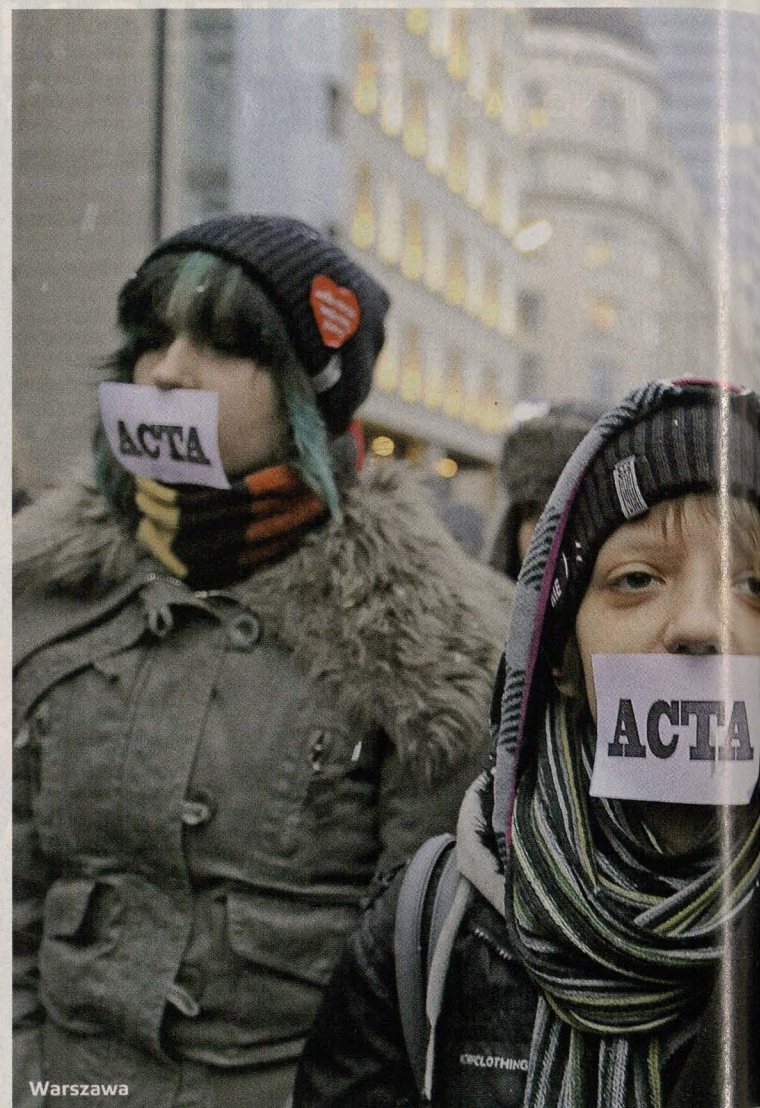
**VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.**  
**VOLKSWAGEN SERWIS UBEZPIECZENIOWY SP. Z O.O.**

Kredyt 50/50 0% (reprezentatywny przykład ustalony i przekazywany zgodnie z ustawą o kredycie konsumenckim): przykładowa cena samochodu: 55 464 zł; wkład własny: 27 732 zł; całkowita kwota kredytu: 27 732 zł; stopa oprocentowania kredytu: 0%; całkowity koszt kredytu: 1 608,46 zł obejmuje składkę ubezpieczenia komunikacyjnego: 1 608,46 zł; rzeczywista roczna stopa oprocentowania 5,8%; czas obowiązywania umowy: 12 miesięcy; całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta: 29 340,46 zł; kwota jednorazowej spłaty: 29 340,46 zł. Oferta na wybrane modele nowych samochodów Volkswagen przy skorzystaniu z ubezpieczenia komunikacyjnego oferowanego przez Volkswagen Serwis Ubezpieczeniowy.



# Cała Polska przeciwko ACTA

Młodzi ludzie tak masowo wyszli na ulice pierwszy raz od końca PRL. Krzyczeli „Kto nie skacze, ten za Tuskiem”, nieśli transparenty „Precz z cenzurą”, „Rewolucja, rewolucja”. W Katowicach swój bunt wyrazili prostym hasłem z rysunku Marka Raczkowskiego sprzed wielu lat



Warszawa



Kielce

Warszawa, Kraków, Bydgoszcz, Lublin, Gdynia, Katowice, Białystok, Poznań, Wrocław, Szczecin, Olsztyn, Kielce – w całej Polsce przeciwko ACTA przez wiele dni manifestowało od kilkuset do nawet 10 tys. osób. Demonstracje odbyły się nie tylko w wielkich miastach, także w Radomsku, Tarnowie, Szczytnie, Bielsku-Białej, Pile, Toruniu, Płocku, Częstochowie, Sosnowcu, Zamościu i Rybniku.



Marek Raczkowski



Katowice



Sopot

Janek Skarżyński/AFR/EASTNEWS, Patryk Plak/REPORTER, Dawid Chalimoniuk/AGENCJA GAZETA, Dominik Werner/AGENCJA GAZETA



# Nie jesteśmy anonimowi

Proszę państwa, 24 stycznia 2012 r. narodziło się w Polsce społeczeństwo informacyjne – napisała internautka na Facebooku. Tego dnia przeciw ACTA protestowały w Warszawie tysiące osób

## Amel Mana

Jestem studentką, należę do Młodych Socjalistów. Ograniczanie swobodnej wymiany wiedzy i kultury hamuje rozwój. A próba potajemnego przepchnięcia dokumentu pokazuje, że rząd nie reprezentuje interesu obywateli, tylko interesy biznesu. Od lat jestem aktywistką i często uczestniczę w demonstracjach.



## Karol

Uczę się na urzędnika państwowego, ale uważam, że państwo nie powinno ograniczać wolności obywatela aż tak bardzo, jak robi to ACTA. Internet od samego początku oznaczał dozę wolności większą niż w realnym świecie. Nie warto z tego rezygnować w imię interesu kilku korporacji. W demonstracjach uczestniczę co jakiś czas.



## Michał

„Nie” dla ACTA i koniec. Ten protest jest milczący, więc co mam więcej mówić. Tu chodzi o wolność słowa, i tyle. Wcześniej demonstrowałem w sprawie legalizacji marihuany.



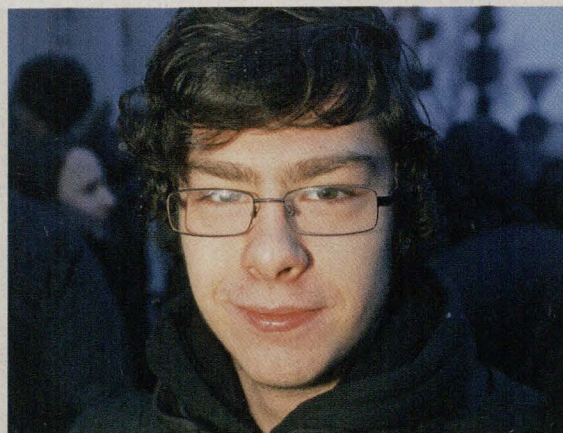
## Jerzy, warszawiak

Uważam, że umowa ACTA jest poważnym zagrożeniem dla wolności słowa a nawet dla demokracji. Dlaczego? W bardzo wielu przypadkach są to przepisy bardzo nieprecyzyjne i w zależności od przepisów wykonawczych mogą być różnie interpretowane. Jestem przedsiębiorcą, od bardzo dawna nie uczestniczyłem w demonstracjach.



## Aleksandra

Studiuje psychologię i historię. Uważam, że ACTA może zablokować dostęp do podręczników w wersji on-line. Często jest jeden podręcznik w bibliotece i studenci muszą korzystać z wersji on-line z nielegalnie kopiowanych. Uważam, że ACTA zatrzyma postęp nauki. Na demonstracjach bywam rzadko.



## Agnieszka

przewodnicząca warszawskiego oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy

Podpisanie ACTA jest kolejnym dowodem na to, że władza dąży do totalitaryzmu. Oczywiście dzieje się to pod pretekstem ochrony praw autorskich, ale chodzi o swobodę inwigilowania ludzi, żeby zaglądać do tego, co przeciętny człowiek robi. Zgadzam się z tym oczywiście, że nie można podkraść muzyki czy filmów ich właścicielom, należy z tym walczyć, ale nie taką umową.



## Bezrobotny

Mam 20 lat, długo szukam pracy, wysłałem mnóstwo ofert, nie odpisują, szukam dalej. Na razie dobra kultura są powszechne, a dojdzie do tego, że dostęp do nich będzie uniemożliwiony, chyba że ktoś będzie gotów płacić, ale nie wszystkich stać. Jestem członkiem Związku Syndykalistów Polskich, mamy transparent „Rząd na bruk, bruk na rząd”.



## Agnieszka

Pochodzę z Radzyna Podlaskiego, studiuje na Wojskowej Akademii Technicznej. Nie jesteśmy pokoleniem, które potrafi protestować tylko na portalach społecznościowych, potrafimy też zebrać ludzi. Internet służy nam nie tylko do głupich gier, ale do rzeczy potrzebnych. Walczymy o wolność. To moja pierwsza demonstracja.



## Mieszkaneczka Warszawy

Należę do stowarzyszenia Ruch Wolności Warszawy. Mieszkam bardzo blisko tych wszystkich miejsc, gdzie są manifestacje. Ponieważ mam poglądy prawicowe, to ostatnio uczestniczę w co drugiej manifestacji. Byłam pod ambasadą węgierską, ponieważ jestem antyunijna. Jestem za wolnością wyboru. Przyszłam tutaj, żeby zaprotestować przeciwko podpisaniu przez nasz rząd umowy, która zabrania nam wolności.



## Magda Mosiewicz

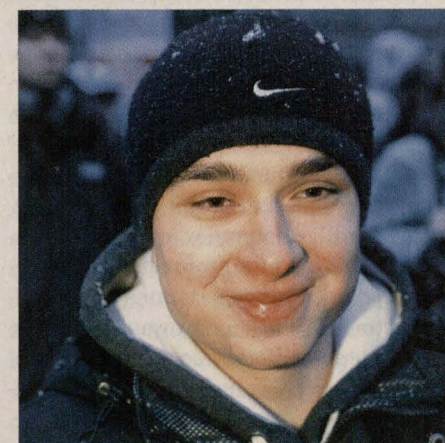
współzałożycielka partii Zieloni 2004

Kiedy rząd Platformy Obywatelskiej nie podpisał Karty Praw Podstawowych, to tłumaczył, że ona nie ma znaczenia. Teraz twierdzi, że podpisuje ACTA, bo to nie ma znaczenia. Skoro to kompletnie nie ma znaczenia, apeluję do rządu, by podpisał Kartę Praw Podstawowych, a nie podpisywał ACTA.



## Patryk

Przyjechałem z Góry Kalwarii walczyć o wolność Internetu. To chyba jedyna droga, która nam została. Media są tak skorumpowane, że jeżeli ograniczą nam prawa do Internetu, to słabo to widzę. Tu chodzi o naszą demokrację w Polsce, tak mi się przynajmniej wydaje. ACTA nie wspomaga interesów artystów ani naszych. Jestem uczniem, na demonstracji pierwszy raz.





# O co lata z tymi ACTA

Czy w obronie swoich zysków międzynarodowe koncerny powinny mieć do dyspozycji środki karne i szybkie, nadzwyczajne procedury, które stawiają na szali takie wartości jak prywatność i wolność wypowiedzi?

KATARZYNA SZYMIELEWICZ

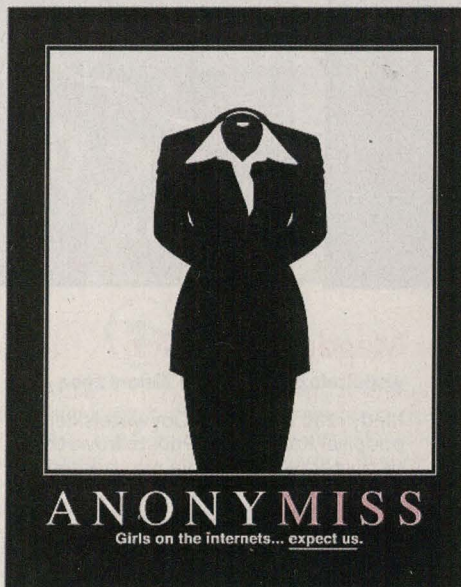
Polska kariera tego dzwicznego akro-nimu to frapujący przypadek. Najpierw były lata chude: aktywiści z kilku środowisk mozolnie pracowali, żeby ten obcy twór jakoś oswoić i umieścić choćby na minutę w debacie publicznej. Żarliwe publikacje na niszowych stronach, uporczywe apele do eurodeputowanych, bezradne prośby wysyłane do mediów. I nic. Po paru latach opadły emocje wokół „wycieków” tajnego porozumienia, skończyły się negocjacje, pojawił się oficjalny tekst ACTA. W grudniu poprzedniego roku zgodę na podpisanie porozumienia wyraziła Rada Unii Europejskiej. Wciąż nic.

Całe zamieszanie miało się zakończyć do kwietnia, kiedy przyjęcie ACTA na poziomie europejskim miało zatwierdzać parlament. Do pełnego sukcesu potrzebne było jeszcze suwerenne „tak” każdego z 27 państw członkowskich, ponieważ porozumienie nieco wykracza poza kompetencje Unii. Ale i tu nikt nie spodziewał się komplikacji. Polskie „tak” w zasadzie padło już w Brukseli, zaplanowany na 26 stycznia akt złożenia podpisu przez ambasadora RP w Japonii w imieniu polskiego rządu miał być raczej formalnością. Na tej ostatniej prostej coś nagle tapnęło. Z prawniczej abstrakcji i długo ignorowanego tematu ACTA przepoczwarzyła się w ponętny symbol internetowej rewolucji, który rozpałił polskie media.

## Ruch wyzwolenia Internetu

Przebudzenie w Internecie było gwałtowne – setki tysięcy kliknięć na stronach ze sloganem „Nie dla ACTA”, setki e-maili dziennie zapychające skrzynki eurodeputowanych, pękające od komentarzy fora, elektroniczne petycje. Wreszcie ruszyła ciężka artyleria: zaczęły się ataki DDOS (ang. Distributed Denial of Service – rozpowszechniona odmowa usługi) na strony internetowe wszystkich instytucji utożsamianych z władzą, która „chce nam

zamknąć Internet”. Internetowa lawa wylała się na ulice, na chwilę topiąc bariery między skrajnie różnymi obozami. O polskim ruchu wyzwolenia Internetu zaczęło być głośno za granicą. Środowiska, które z ACTA znały się dłużej niż dwa tygodnie, przecierały oczy. Co się stało? O co walczą ci, którzy na różne sposoby skandują „Nie odbierzecie nam Internetu”? O co wszyscy walczymy?



Zaczął się od walki o przestrzeganie demokratycznych standardów. Kiedy parę lat temu w sieci pojawiła się informacja o tajnej umowie międzynarodowej, która ma zaostreżać zasady egzekwowania prawa autorskiego, w środowisku ludzi działających na rzecz wolnego i otwartego Internetu szybko wyklarowała się jasna postawa: „nic o nas bez nas”. Stąd uporczywe postulaty ujawnienia szczegółów porozumienia i regularne wycieki tekstu roboczego ACTA, głównie za sprawą WikiLeaks. Na to żądanie transparentności nie zareagował żaden rząd, nie zareagowała też Komisja Europejska. W końcu międzynarodowe negocjacje „mają prawo być tajne”, nie chcemy,

żeby wyborcy pamiętali nam zbyt ostre postulaty czy nieudane strategie. Dyplomacja pole minowe, po którym nie powinni się plątać przypadkowi obywatele.

Problem w tym, że nie każda umowa międzynarodowa w takim stopniu jak ACTA dotyczy obywateli dotyka. Skoro to dyplomacja walczy w delikatny obszar podstawowych praw i wolności, trzeba zweryfikować reguły. Skoro problematyka, która zwykle jest regulowana przez parlament w otwartym procesie legislacyjnym, zostaje wyprowadzona na pole międzynarodowych negocjacji, trzeba też ten proces nieco otworzyć. Wpuścić więcej światła, żeby zaniepokojeni obywatele nie musieli się domyślać i dopowiadać sobie zagrożenia, których być może wcale nie ma. Le przed ACTA wyhodowały same negocjujące porozumienie rządu. W Internecie utrzymało się przekonanie, że za tym tajemniczym aktem stoi potężne lobby amerykańskiego przemysłu rozrywkowego, które w zaciszu binetów podszeptuje politykom przepis brutalną rozprawę z „piractwem”.

## Nic o nas bez nas

Kiedy tekst ACTA stał się jawny, a negocjacje – na tym etapie sprowadzone do „przyjęcia i odrzucenia” – przeniosły się do Brukseli i pozostałych stolic, postulat „nic o nas bez nas” wcale się nie zdeaktualizował. Ci, którzy próbowali uświadomić decydentom politycznym, że ACTA to zarzewie poważnego społecznego problemu, odbijali się od zamkniętych drzwi. Komisja Europejska, oszczędzając sobie konsultacji z zainteresowanymi środowiskami. Można było pojechać na spotkanie do Brukseli i usłyszeć, jak zręczni negocjatorzy wygaszają paragrafami emocjonalne argumenty aktywistów. Nie byli tam politycy, żeby „usłyszeć głos społeczeństwa”, ale by

W Polsce Ministerstwo Kultury też się konsultowało, podobno z 30 organizacjami. Podobno, bo ani samo ogłoszenie o konsultacjach, ani lista konsultowanych, ani ich odpowiedzi

nie znalazły się w Internecie (przynajmniej nie w miejscu dostępnym dla przeciętnego użytkownika). Dlaczego nie było debaty publicznej? Dlaczego nawet ci zainteresowani ACTA nie mieli szansy „zostać wysłuchani”? Najwyraźniej istotą konsultacji społecznych, tak jak je rozumieją reprezentujący nas politycy, wcale nie jest poznanie naszych poglądów. Konsultacje społeczne to instytucja czysto formalna: kanał komunikacyjny otwarty w jedną stronę, który w dodatku otwiera się w ściśle przewidzianych procedurach momentach, najczęściej też tylko dla tych, których dane ministerstwo uzna za stosowne zawiadomić.

Sposób procedowania w sprawie ACTA tylko wyśkrabił absurd, które w polskiej demokracji funkcjonują od lat. Można przecież założyć, że gdyby politycy czasem słuchali, co próbujemy im powiedzieć, częściej znajdowałiby wśród nas swoich wyborców i wdzięcznych doradców. Czy to jest pomysł zupełnie niedzisiejszy? Zapewne, skoro dziś niektórzy eurodeputowani nie widzą niczego niestosownego w przyznaniu się, że głosując za ACTA, tak naprawdę nie wiedzieli, za czym głosowali.

## Etap testowy

No właśnie, za czym głosuje polityk, wybierając ACTA? W odczuciu tysięcy internautów opowiada się za twardym stosowaniem prawa, które nie przystaje do rzeczywistości cyfrowego świata. Opowiada się za represją w miejsce oczekiwanej przez wielu reformy. Zamyka oczy na to, jak dziś funkcjonuje Internet, nie chce zrozumieć, co rzeczywiście kryje się za sloganowym „piractwem”, nie próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego prawo własności intelektualnej jest w sieci łamane na masową skalę. Najwyraźniej wyznaje zasadę, że rzeczywistość da się dopasować do każdej normy prawnej, nawet nieludsko powyginaanej, wystarczy tylko wziąć do ręki odpowiednio ciężki młotek. Za takie narzędzie mogą posłużyć niektóre środki proponowane w porozumieniu ACTA. W odpowiedzi na tę logikę otworzył się kolejny front walki przeciw ACTA: o uczciwe zrównoważenie interesów milionów użytkowników i kilkudziesięciu firm, które zarabiają na dystrybucji muzyki oraz filmów.

Dlaczego w tym równaniu nie ma samych twórców? Ich pozycja jest niejednoznaczna. Są twórcy, dla których nowe technologie i kanały komunikacji otworzyły szanse na lepsze zarobki, szybsze i tańsze dotarcie ze swoim produktem do szerszej grupy odbiorców. Dla nich Internet to ziemia obiecana. Ale są i tacy, którzy wybierają życie z tantiem, kosztem

gigantycznych marży, jakie muszą odprowadzać swoim pośrednikom. Dla nich Internet to Dzikie Zachód, ziemia niczyja. Ci ostatni zaspominają lub nie chcą pamiętać, że ta sama osoba, która ściąga plik z filmem lub muzyką za darmo w sieci, często staje się chwilę potem klientem, który ten sam utwór kupuje w zwykłym sklepie. Kupuje, jeśli po wstępnej weryfikacji uzna, że rzecz jest warta trzymania na półce. Dlatego niektórzy twórcy traktują darmową dystrybucję w sieci jako etap testowy, zanim swoje dzieło wypuszczą w eleganckim opakowaniu na komercyjny rynek.

## Front walki

Jedyna grupa, która na darmowej wymianie plików i naruszeniach przestarzałych norm prawa autorskiego traci niewątpliwie, to pośrednicy. To wystarcza za wyjaśnienie, dlaczego najgorliwiej za przyjęciem ACTA lobbują organizacje zbiorowego zarządzania prawami

## ACTA Art. 12 ust. 2

„Każda Strona przyznaje swoim organom sądowym prawo zastosowania środków tymczasowych bez wysłuchania drugiej strony, w stosownych przypadkach, w szczególności, gdy jakkolwiek zwłoka może spowodować dla posiadacza praw szkody nie do naprawienia lub gdy istnieje możliwość wykazania niebezpieczeństwa, że dowody zostaną zniszczone. W przypadku postępowania prowadzonego bez wysłuchania drugiej strony, każda ze Stron przyznaje swoim organom sądowym prawo podejmowania natychmiastowego działania w odpowiedzi na wniosek o zastosowanie środków tymczasowych i do podejmowania decyzji bez zbytejnej zwłoki.”

autorskimi, znane firmy producenckie z Hollywood i międzynarodowe koncerny medialne. Dla nich złoty wiek skończył się już w latach 90. – w tym samym momencie i z tego samego powodu, dla którego wystartowały takie firmy jak Apple, Google czy Amazon. Im więcej możliwości wymiany i dystrybucji przynosiła upowszechniająca się sieć, tym bardziej zagrożone były ich żywotne interesy i ostrzejsza nagronka na „piratów”. Z eskalacji tego konfliktu między starym i nowym porządkiem narodziła się inicjatywa ACTA.

Czy to, że niektórzy biznesmeni tracą zyski, uzasadnia represyjne działania przeciwko dużej części społeczeństwa i sporej liczbie innowacyjnych przedsiębiorstw? Czy w obronie swoich zysków międzynarodowe koncerny powinny mieć do dyspozycji środki karne i szybkie, nadzwyczajne procedury, które stawiają na szali takie wartości, jak prywatność i wolność wypowiedzi? Czy środki i procedury proponowane przez ACTA rzeczywiście są niezbędne i proporcjonalne, z punktu widzenia naszej

konstytucji? Te pytania otwierają być może najistotniejszy front walki przeciw ACTA: o zachowanie proporcji w demokratycznym państwie prawa.

Brak poważnej debaty na temat tego, jak podejść do nowych modeli dystrybucji treści w Internecie, do kultury wymiany i remiksu, do nowych postaw obywatelskich konsumenci, sprawił, że wszelkie działania formalnie niezgodne z prawem własności intelektualnej trafiły do worka z etykietą „piractwo”. Jednocześnie intensywny lobbying tonącej gałęzi przemysłu sprawił, że postanowiono tępić wszelkie naruszenia tego prawa z żarliwością wcześniej zarezerwowaną dla walki z przestępczością. Tym sposobem przeciętny obywatel stał się domniemanym przestępcą, którego prawa obywatelskie mogą w niektórych aspektach zostać „zawieszone” na czas rozstrzygnięcia, czy świadomie naraził branżę rozrywkową na straty o wartości kilku dolarów.

ACTA pięciuje ten kierunek polityczny i sygnalizuje obywatelom użytkownikom Internetu, że ich rząd stawia doraźne interesy pewnej grupy ekonomicznej ponad wartościami, które są ważne i dla Internetu, i dla demokracji. Nie przypadkiem „szybkie ścieżki” w procedurze sądowej należą do wyjątków, a organy ścigania tylko wyjątkowo mogą ograniczać nasze prawa obywatelskie bez wyroku sądu. Dawno temu w demokracji uznano, że czas poświęcony na deliberację nie jest czasem straconym, bo dzięki niej można zachować istotne dla tego systemu wartości.

Procedury demokratyczne z definicji będą działać wolniej niż autorytarne. W zamian stwarzają lepsze gwarancje poszanowania praw jednostki w zderzeniu z systemem prawnym. Kiedy zatem pojawiają się pomysły przyspieszenia, uproszczenia, a nawet zawieszenia niektórych z tych procedur w imię komercyjnych interesów, nikogo nie powinno dziwić, że ludzie spontanicznie wychodzą na ulicę. Hasła, z jakimi internauci wyruszyli na starcie z wyobrażeniem na temat ACTA, bywają nieracjonalne. Mity na temat tego porozumienia bywają przesadzone. Ale obawy, jakie popchnęły ich do działania, są faktem, którego politykom nie wolno ignorować. Spór o ACTA przerosł w spór o hierarchię wartości w cyfrowym świecie; o filozofię regulowania tego obszaru niezbadanych jeszcze możliwości. Nie pozwólmy, żeby tak zasadniczy spór wygasł, gdy tylko ostygną polityczne emocje.



# Chomikuj? Pożyczaj? Kupuj?

Jeśli coś odwiedzie przyzwyczajonego do wygody ściągania plików internautę od „piracenia” kultury w sieci, to tylko możliwość wygodnego, legalnego i taniego zakupu. Najlepiej jednym kliknięciem myszki

MILADA JĘDRYSIK

**P**ewnego dnia Piotr Lipiński, dziennikarz specjalizujący się w reportażu historycznym i technogadżetomaniak, odkrył, że na jego stronie internetowej pojawia się zadziwiająco dużo ludzi z portalu Chomikuj.pl, na którym internauci udostępniają pliki. Oczywiście z naruszeniem praw autorskich. Okazało się, że ściągają okładkę jego książki o piątej komendzie WiN. Bo plik PDF już ściągnęli sobie za darmo z Chomika, a że każdy kolekcjoner chce, aby jego kolekcja ładnie wyglądała na półce (taki żart), uzupełniają go o okładkę. Piotrek napisał o tym na Facebooku i od znajomych dostał dużo dobrych rad. Jedni namawiali go, żeby doprowadził do usunięcia książki, ukarania pirata. Inni – żeby ułatwić życie internaucie i opublikował swoją książkę jako e-booka w przyjaznym do czytania formacie. I jeszcze na tym zarobił. Tak się stało: e-book „Piąta komenda” jest dziś do kupienia w polskich księgarniach internetowych Bezkartek.pl i Virtualo.pl, na Amazonie i jako aplikacja w Apple Store. Kosztuje kilka złotych.

To ważne, bo jeśli w ogóle coś odwiedzie przyzwyczajonego do wygody ściągania plików internautę od „piracenia”, to tylko możliwość wygodnego, legalnego i taniego zakupu. Najlepiej jednym kliknięciem myszki. Nie jest też realna groźba, że siły porządku i obrony własności intelektualnej odetną nas od nielegalnych plików. Na miejsce zablokowanych serwisów wyrosną nowe, bo nie sposób ocenzurować całego Internetu. Właściciele zamkniętego ostatnio MegaUpload już tworzą nowy serwis muzyczny.

## Wypożycz, nie kupuj

Nie wypadało pytać Piotra, ile zarobił, ale jego e-book ostatnio był na pierwszym miejscu w kategorii self-publishing na Virtualo. Są oczywiście tacy mistrzowie, którzy na self-publishingu zarabiają krocie, jak autorka książek o wampirach Amanda Hocking, która w ciągu

roku wzbogaciła się o 2 mln dol., czy autor kryminałów za 99 centów – John Locke. Self-publishing dobrze obrazuje ważną konsekwencję informatyzacji: możliwość masowego rozpowszechniania treści przez każdego internautę zmniejsza rolę pośredników, czyli wydawców albo koncernów muzycznych czy studiów filmowych. Ale umówmy się, nie każdy ma szansę zostać Amandą Hocking.

Jednak wydawcy i koncerty, zamiast okopywać się na wygodnych pozycjach i wciskać nam drogie DVD i Blu-ray oraz lobbować za różnymi SOPA, PIPA czy ACTA, mogliby też się zastanowić, czy nie są w stanie zaoferować internautom wygodnego, legalnego i taniego zakupu. A może to wcale nie musi być zakup, tylko „wypożyczenie”? Żyjemy przecież w cza-

” Rozdawanie książek za darmo po osiągnięciu wystarczającego dochodu nakręca reklamę i dobrze nastawia czytelników

sach internetowej chmury. Po co posiadać na własność zbiór zer i jedynek? Na półce nie można sobie go wystawić, żeby wzbudzać zazdrość i podziw gości, a tylko zajmuje miejsce na twardym dysku.

Taki plik „wypożyczony” – film obejrzany albo utwór muzyczny odsłuchany w streamingu, książka przeczytana on-line lub udostępniona na dwa tygodnie na czytniku – musi być tańszy od pliku „kupionego” na własność. I to się już oczywiście dzieje. W Stanach Zjednoczonych miłośnicy filmów nie wypożyczają kaset ani DVD, tylko „netfliksują” filmy. Serwisy takie jak Netflix czy Hulu umożliwiają obejrzenie filmu czy serialu za opłatą abonamentową. A eksperci szacują, że za dwa, trzy lata 90 proc. telewizorów na rynku będzie miało

bezpośredni dostęp do Internetu. To znaczy każdy będzie mógł sobie oglądać, co chce i kiedy chce, nie czekając na emisję. Przynieść to w teorii, ale o tym niżej.

## Warto mieszać

Szwedzki serwis Spotify (na razie niedostępny w Polsce), który oferuje to samo w przypadku muzyki, ma już 10 mln użytkowników, 7,5 mln ma darmowe konta, a serwis zarabiał na umieszczanych tam reklamach, 2,5 mln na płatnych kontach premium. Powstają już podobne serwisy z audiobookami – za miesięczny abonament będzie można ich wysłuchać, jeśli się chce. Amazon, największa na świecie księgarnia internetowa, wprowadził w listopadzie zeszłego roku wirtualną bibliotekę książek i filmową. W grudniu abonenci Amazon Prime (80 dol. miesięcznie) „wypożyczyli” z liczącej 75 tys. „woluminów” Kindle Owner’s Lending Library 300 tys. pozycji. Amazon utworzył też fundusz wspierający niezależnych autorów i wydawców – jeśli udostępnią na wyłączność na 90 dni swoją książkę w wirtualnej bibliotece, dostaną 1,70 dol. za jedno wypożyczenie. Najpopularniejsi autorzy zarobili w ten sposób średnio 7 tys. dol., o 30 proc. więcej niż na tradycyjnej sprzedaży książek w tym samym okresie.

Coraz powszechniejszą modą wśród tych dobrze sobie radzących w bezpośredniej sprzedaży jest rozdawanie książek za darmo po osiągnięciu wystarczającego dochodu. To nakręca reklamę i dobrze nastawia czytelników. A w konsekwencji powoduje, że potęga się jeszcze więcej e-booków. Hasło Internetu brzmi bowiem: „Tak, darmowy lunch istnieje. I należy się nam przynajmniej raz w tygodniu”.

Lawrence Lessig, prawnik z Harvardu i współtwórca systemu wolnych licencji Creative Commons, uważa – i nie jest w tym osobniony – że przyszłością internetowej gospodarki jest właśnie system freemium, łączący rozdawanie treści za darmo z płatnymi,

także wytwarzanych za darmo i płatnie. Jako przykład podaje serwis informacyjny „Huffington Post”, w którym blogerom celebrytom, generującym ruch na stronie, się nie płaci, a zawodowym dziennikarzom – tak. Freemium stosuje również od niedawna „The New York Times”, który pozwala w ciągu miesiąca przeczytać za darmo 20 artykułów, a posiadaczom abonamentu umożliwia dzielenie się treścią w serwisach społecznościowych.

Yochai Benkler, twórca klasycznych już studiów nad siecią, w swojej nowej książce „Pingwin i Lewiatan” pokazuje, jak dobrze takie mieszane modele się sprawdzają. Głośne zespoły – Radiohead czy Nine Inch Nails – zaproponowały fanom, by płacili za ich utwory dobrowolnie, i nie zarabiają mniej niż na tradycyjnej sprzedaży. Benkler przytacza też przykład twórcy mniej znanego – Jonathana Coultona. Za jego płytę 48 proc. konsumentów zapłaciło 8 dol., a tylko 16 proc. wydało minimalne proponowane przez muzyka 5 dol. Album cały czas można było też ściągnąć za darmo.

Największy opór wobec sieciowych sposobów dystrybucji zgłasza oczywiście lobby tradycyjnego przemysłu, który będzie na tym tracił dopóty, dopóki diametralnie nie zmieni swojego biznesowego modelu. Przeciwno wirtualnej wypożyczalni Amazona protestują gildie amerykańskich autorów. Kolejne próby stworzenia internetowej telewizji są torpedowane przez firmy producenckie, które nie chcą tam udostępniać filmów i seriali.

To oczywiście historia stara jak świat. W średniowieczu mieliśmy cechy, które broniąc swoich interesów, zwalczały partaczy. Tim Wu, autor książki „Główny przełącznik”, twierdzi, że ten proces w gospodarce przybiera postać cyklu: gdy powstaje innowacyjna technologia, ma ona charakter otwarty. Potem firmy, którym przynosi korzyść, zamykają ją w klatce licencji i kar. Tak było na przykład z radiem – na początku XX w. audycje radiowe mógł nadawać każdy amator. Szybko jednak zaczęły się pojawiać regulacje, przyznawanie częstotliwości. Także powstanie Hollywood i rozkwit amerykańskiego filmu zawdzięczamy temu, że paru odważnych producentów o żydowsko-polskich korzeniach uciekło ze wschodniego wybrzeża przed krępującym gorsetem licencji.

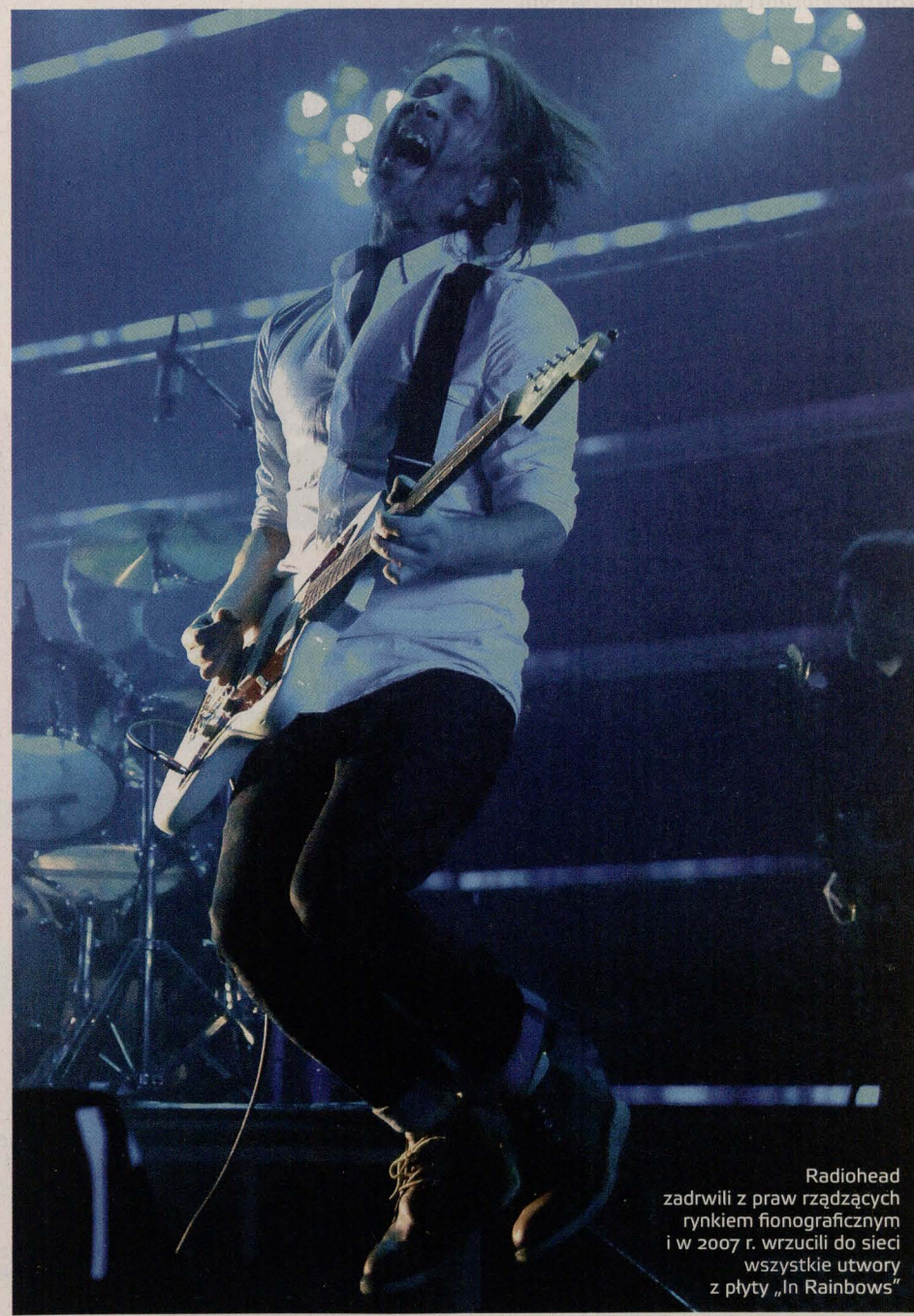
Jeśli chcemy ograniczyć internetowe „piractwo”, właściciele treści powinni zrezygnować z tych arbitralnych ograniczeń, które w ich mniemaniu przed nim chronią. Im mniej zabezpieczeń, tym chętniej internauci będą kupować. Niech powstanie jeden uniwersalny format e-booka, który będzie można czytać

na wszystkich czytnikach. Niech firmy działają w globalnej skali: dlaczego nowy sezon modnego amerykańskiego serialu jest w Polsce dostępny dopiero po roku?

Tylko że to nie takie proste. Wu zwraca uwagę, że w praktyce „stary” przemysł nie jest w stanie się reformować i zostaje wyparty przez „nowy”. To dlatego, że kultura korporacyjna takiego obudowanego regulacjami biznesu przestaje być innowacyjna; na kierownicze stanowiska trafiają menedżerowie, którzy nie są w stanie mentalnie przestawić się na nowe tory. I dlatego pewnie skończy się to tak,

że Amazon zmarginalizuje tradycyjne sieci księgarskie, które nie zareagowały wystarczająco wcześnie, by móc stawić mu czoło. Ale nie ma się też co łudzić, że „kultura” ściągania za darmo zniknie. Znajomi z Facebooka zaśmiewali się z odkrycia, że nasi sprytni rodacy wynaleźli metody, jak ściągać z Chomikuj.pl z ominięciem opłat za transfery plików. Opłat naprawdę bardzo niskich.

I tu zrodziło się pytanie, burzliwie dyskutowane, „czy okradanie kradnącego to jest przestępstwo, czy też zgodnie z prawami dialektyki czyn szlachetny?”



Radiohead zdradził z praw rządzących rynkiem fonograficznym i w 2007 r. wrzucił do sieci wszystkie utwory z płyty „In Rainbows”

Jeff Kravitz/FILMMAGIC/GETTY IMAGES



# Partyzanci cyfrowi

**Z**aistnieli jak większość bytów w Internecie – jako mem\* na stronie 4chan.org – rodzaju wielkiego forum dyskusyjnego, którego użytkownicy wymieniali się obrazkami – czasem perwersyjnymi, czasem obrzydliwymi. Każdy obrazek podpisany był „Anonymous” – anonimowy. Z czasem słowo to wyszło poza forum i stało się uniwersalnym określeniem grupy anonimowych użytkowników sieci.

Po kilku latach określenie „anonymo-us” przejęli hakywiści\* walczący z ograniczaniem wolności słowa w Internecie. W 2008 r. przełomem była akcja „Projekt Chanology”, czyli zmasowany atak na strony Kościoła scjentologicznego. Była to reakcja na próbę usunięcia z sieci kompromitującego wywiadu z Tomem Cruise'em, wyznawcą scjentologii. Po raz pierwszy został wykorzystany wtedy Low Orbit Ion Cannon (ang. działo jonowe umieszczone na niskiej orbicie) – prosty w obsłudze, dostępny dla każdego program, pozwalający na przeprowadzanie ataku DDoS\*. Ataki DDoS stały się główną bronią hakywistów. Oczywiście do Anonimowych należy też wielu „prawdziwych hakerów”, którzy potrafią obchodzić zabezpieczenia stron, wykraść hasła administratorów sieci itp.

Na głębokie polityczne wody Anonymous wypłynęli podczas operacji „Payback” (ang. odpłata) w 2010 r. Był to zmasowany atak na przeciwników piractwa internetowego, ale przerosł się w e-inwazję na banki, które zamroziły rachunki WikiLeaks. Anonymous odegrali też istotną rolę podczas arabskiej wiosny 2011, atakując strony rządów m.in. Tunezji, Egiptu i Libii. Zaangażowali się też w działalność ruchu Occupy Wall Street, a wielu nowojorskich demonstrantów nosiło maskę Guya Fawkesa – nieoficjalny symbol Anonymous, spopularyzowany przez film „V jak Vendetta”.

**Anonymous nie mają przywódców, namierzają wspólne cele, bywają groźni chcą wolności**

KRZYSZTOF PACEWICZ



Flaga grupy Anonymous

Ostatnia akcja Anonimowych to „Polish Revolution” – w proteście przeciwko zapowiedzi podpisania przez Polskę porozumienia ACTA zaatakowali strony Sejmu, premiera RP, ABW, MSZ oraz wiele innych, doprowadzając do ich czasowego unieruchomienia.

Ilu ludzi należy do Anonymous? „Więcej, niż myślisz” – głoszą filmiki wrzucane przez nich do sieci. I prawdopodobnie nie kłamią. Anonymous nie mają ani przywódców, ani komitetów centralnych i komitetów lokalnych, ani nawet wspólnej ideologii. Stąd często przywoływane przez samych Anonimowych porównanie do stada ptaków, które leci w tym

samym kierunku. Łączy ich doraźne zadanie, akcja, która idzie po sieci jak fala po wodzie. Anonymous nie mają jednej oficjalnej strony. Najczęściej komunikują się, wrzucając do sieci krótkie filmy. W filmach nigdy nie występują konkretne osoby, nie widać żadnych twarzy, a tekst oświadczenia czyta syntezytor mowy. Najświeższy przykład: „Nie pozwolimy wam podpisać ACTA. (...) Nie żartujemy. Polski rządzie, jesteście potężniejsi niż my.”

Anonymous nie mogliby powstać, gdyby nie Internet – metoda ich działania jest ściśle związana ze sposobem, w jaki informacja rozprzestrzenia się w sieci. Struktura ruchu jest całkowicie zdecentralizowana, podobnie jak struktura sieci BitTorrent.

Anonimowi atakują przede wszystkim strony rządów, banków i korporacji.

Pochodzą z różnych stron świata, mają różne poglądy społeczne i polityczne. W dwóch sprawach są jednak zgodni. Chcą walczyć z każdym „prawem ograniczającym wolność w Internecie”, w tym z akcjami wymierzonymi w „piractwo”. Ponadto są przeciw dyktatorskim rządom, które podejmują decyzje za zamkniętymi drzwiami, bez wiedzy i zgody obywateli.

Większość internautów kibicuje Anonymous; wielu z nas ściąga nielegalnie filmy, muzykę, e-booki. Argument, że walka z „piractwem” leży w interesie internautów, gdy zwiększa przychody artystów, nie brzmi przekonująco – zwłaszcza że tylko znikomy procent zysków ze sprzedaży trafia do artystów, a lwia część pożera ją wielkie koncerny medialne. Poza tym – kto z nas lubi dyktatorów?

Można więc uznać Anonymous za przedwicieli internetowej woli powszechnej, głoszących zdigitalizowanego ludu.

To znaczy, że wierzymy w małżeństwo Internetu z demokracją?

## Słowniczek

**\*Internetowy mem** – tekst/obraz/utwór, który rozprzestrzenia się w sieci jak wirus. Najczęściej jest rozpowszechniany za pośrednictwem serwisów społecznościowych i forów dyskusyjnych. Najbardziej znane memy to: „Epic Fail” albo

„This is Sparta”, „Forfiter” (Gary muwa! Kip im et be!).

**\*Hakywiści** – hakerzy aktywni, aktywni społeczno-polityczni, którzy korzystają z komputerów i sieci internetowych do przeprowadzania akcji protestacyjnych,

często za pomocą nielegalnych środków – na przykład atakując strony internetowe rządów albo korporacji.

**\*Atak DDoS** – polega na przeciążeniu strony internetowej, generując wielki ruch.

**\*BitTorrent** – sposób wymiany i dystrybucji danych; internauta jednocześnie pobiera plik od wielu innych użytkowników oraz wysyła go kolejnym. Za pośrednictwem sieci BitTorrent często przesyła się nielegalne filmy, muzykę i oprogramowanie.

# Nowa, lepsza Polska to Wirtualna Polska.

Masz szybszy dostęp do wszystkich informacji.

Sprawdź nową >





# ATAK ACTA

Nad spokojnym oceanem Internetu zawisły ciemne chmury. Mityczny kraken ACTA wypłynął z ciemnej jamy i terroryzuje swoimi wstrętnymi mackami mieszkańców Zatoki Piratów. Czy uda ci się wyrwać z jego obsłizgłego uścisku?

## ZASADY GRY:

Gracze ustawiają pionki na polu "Start". Jako pierwszy rzuca kością największy pirat w towarzystwie (licząc w ściągniętych gigabajtach w zeszłym miesiącu), później osoba po jego lewicy itd. Celem gry jest dotarcie na statek piratów.

## 11. PIRACTWO NIE POPŁACA

Zgodnie z zapowiedzią Biura Bezpieczeństwa Narodowego, po cyberataku został wprowadzony stan wojenny. Marynarka wojenna budzi cię o świcie i przeszukuje twoją skrzynię - znajdują nielegalnie skopiowane rękopisy Umberto Eco. Zamykają cię w lochu - pauzujesz jedną turę.

## 13. WIATR W ŻAGLE

Sejmowa Komisja Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii apeluje do Prezesa Rady Ministrów o odłożenie podpisania umowy ACTA. Przeplynie jedno pole do przodu.

## 12. ROZBITEK BEZ IMIENIA

Okazuje się, że prawa autorskie do twojego konta na Facebooku kupił McDonald's. Nie stać cię, żeby je odkupić - musisz zmienić imię i nazwisko. Cofasz się o dziesięć pól i rzucasz jeszcze raz.

## 9. TRÓJKĄT BERMUDZKI

Chciałeś obejrzeć swój ulubiony teledysk na youtube, ale okazało się, że jest on niedostępny w twojej szerokości geograficznej. Ze smutku cofasz się o jedno pole.

## 10. PRZYSTAŃ

### "METAFORA CYKLISTY"

Anonymous rozpoczęli operację "Polish Revolution". Rewolucja, jak mawiał Che Guevara, jest jak rower - jeśli nie posuwa się naprzód, to pada. Posuń się trzy pola do przodu albo padnij.

**1. ŚWIERGOT KOLIBRA**  
Orientujesz się, że po raz pierwszy w życiu dzielisz poglądy z Januszem Korwinem-Mikke. Skonfundowana, zaczynasz wiosłować w złą stronę i cofasz się o jedno pole.

## 2. PIRACI, ALE KULTURALNI

Jarosław Lipszyc: "wojna z piractwem - na którą właśnie rusza premier - jest wojną z elitą tego kraju". Jako przedstawiciel elity dostajesz dodatkowy rzut kością.

## 3. STATEK WIDMO

Konsultacje społeczne odbyły się (wg ministra Zdrojewskiego) i nie odbyły (wg ministra Boniego) jednocześnie.

Ty też cofasz się o trzy pola i płyniesz trzy pola do przodu jednocześnie.

## 4. KAPITAN HAKER

Przypadkiem włamałaś się na stronę Premiera, wpisując hasło "admin1". Płyniesz dwa pola do przodu.

## 15. ZWYCIĘSTWO!

Z macek krakena ACTA uwalniają cię piraci. Razem z nimi wypływasz na niezmierzony przestwór oceanu wolności, aby rabować i gwałcić prawa autorskie!

## 5. SYRENI ŚPIEW

Zbigniew Hołdys: "Jeśli rząd by się ugiął przed gównianym szantażem anonimów, to byłby to rząd do zmiany." Rzuć ponownie kostką: jeśli wyrzucisz 1,2,3 lub 4, dajesz się uwieść powabowi rockmana i płyniesz sześć pól wstecz.

## 6. NABITA W BUTELKĘ

Przypadkiem natrafiasz w oceanie na butelkę pełną zdjęć uśmiechniętej Kasi Tusk z podpisem: ratuj mnie, ocenzurowali mojego bloga! Cofasz się cztery pola, żeby uratować Kasie.

## 14. GŁOWĄ W MUR

Donald Tusk: "Dałem upoważnienie do podpisania ACTA. Nie ustąpimy wobec szantażu". Cofasz się na Start.

## 7. MORSKIE OPOWIEŚCI

Rozmawiasz z bosmanem, który opowiada ci o swoim udziale w Powstaniu Warszawskim. Inspiruje cię to do walki o Wolność Naszą i Waszą. Przeplynie sześć pól do przodu.

## 8. ZAMIANA W KAMIEŃ

Minister Boni: „Ta umowa nie nie zmieni”. U ciebie też nic się nie zmieni - pauzujesz przez 2 tury.

You



# Wystarczy nam nasze prawo

Rezygnacja z uprawnień państwowych na rzecz instytucji prywatnych w walce o obronę praw własności intelektualnej jest niedopuszczalna – mówi Ołafowi Szewczykowi **WOJCIECH WIEWIÓROWSKI**, generalny inspektor ochrony danych osobowych

**Czy Polska powinna podpisywać konwencję ACTA?**

– Nie do końca wiem, czy powinna to zrobić, bo nie odbyły się konsultacje dotyczące tego zagadnienia. Wiem, co ja w tej sprawie myślę i jakie jest stanowisko organizacji, które popierają podpisanie ACTA, ale dyskusji zabrakło. Mam podstawową wątpliwość: otóż niektóre z zawartych w traktacie przepisów są wyjątkowo nieprecyzyjne, w związku z czym można je interpretować w różny sposób. Dlatego uważam, że jeśli Polska zdecyduje się na podpisanie i ratyfikowanie tego aktu prawnego, to powinna przy każdym z niejasnych przepisów powiedzieć (czego w nim niewątpliwie nie ma), jakich praw i obowiązków nie należy domniemywać. Szczególnie niepokoi mnie możliwość wprowadzenia dodatkowych metod – oprócz tych, które już w polskim prawie istnieją – wymiany danych osobowych pomiędzy organizacjami zwalczającymi naruszanie praw autorskich, nie tylko w Internecie.

**Zalóżmy, że o to nie zadamy. Co nam zagrozi?**

– Nie widzę tam normy, która nakazywałaby nam udostępnienie danych osobowych instytucjom prywatnym albo organizacjom zwalczającym naruszanie praw autorskich, ale to punkt widzenia generalnego inspektora danych osobowych. Obawiam się, że inne podmioty będą odmiennego zdania, powołując się na – według nich – normy wystarczająco precyzyjne, by do takich rozwiązań doprowadzić. Za chwilę spotkamy się więc w sądzie. Może nie za miesiąc, ale za rok lub dwa lata, dyskutując na ten temat przed sędzią. Chciałbym, żeby polski rząd i polski parlament, decydując o ewentualnym podpisaniu i ratyfikacji konwencji, był pewien, że ACTA nie ma zawierać nowych uprawnień.

**Czy ta konwencja w obecnej postaci jest w ogóle zgodna z polską konstytucją?**

– Nasza konstytucja w art. 31 mówi, że ingerowanie w prawa i wolność człowieka może nastąpić jedynie w sytuacjach, w których jest to niezbędne w demokratycznym państwie



Kuba Kamiński

prawnym. Nie widziałem żadnego opracowania przygotowanego przez rząd ani żaden inny podmiot, które wykazywałoby, że niezbędne jest podpisanie tego traktatu międzynarodowego, bo bez niego nie możemy sobie poradzić. **Czego konkretnie, po zaakceptowaniu przez Polskę wymogów ACTA, mieliby obawiać się polscy internauci? Protestujący wyrażają niepokój, że pod pozorem ochrony praw własności naruszana będzie ich prywatność, bez wiedzy i zgody przetwarzane będą ich dane, być może nawet zamykane będą strony niewygodne dla decydentów, na przykład z powodów politycznych...**

– Przypomnijmy, że ACTA nie dotyczy tylko internautów. Także osób, które przykładowo kupiły podrabiane dzinsy. One mogły w dobrej wierze je nabyć i nikt im co prawda nie będzie zarzucał, że złamały prawo, grozi im jednak co innego: mogą stać się świadkami w postępowaniu cywilnym czy karnym w sprawie o naruszenie znaku towarowego. Gdy takie dane zbiera i przekazuje za granicę policja, nie mam nic przeciwko temu, bo wiadomo, jak i na jakiej zasadzie się to dzieje, kto sprawuje nad tym kontrolę. Natomiast gdyby miały się w to włączyć organizacje prywatne, takiej wiedzy bym nie miał. Jakie to byłyby dane? W jakim celu byłyby przekazywane?

**Czy w dobie powszechnej wymiany danych w Internecie podobne rozwiązania jak ACTA w ogóle mogą okazać się skuteczne?**

– Jestem zwolennikiem istnienia praw własności intelektualnej w takiej formie, w jakiej jest nieją w naszym kraju. Uważam, że zarówno nasze ustawy, jak i akty prawa międzynarodowego chronią je w wystarczający sposób. Natomiast to, że nie potrafimy ich poprawnie wykorzystać i chcielibyśmy oddać tę walkę organizacjom zbiorowego zarządzania prawami autorskimi albo innym organizacjom walczącym o ochronę praw własności intelektualnej, jest dla mnie niedopuszczalnym zrezygnowaniem z uprawnień państwowych na rzecz instytucji prywatnych.

**Najgorszy możliwy czarny scenariusz?**

– Nie będę dawał takiego przykładu, bo boję się, że zostanie zrealizowany. A już mówiąc zupełnie poważnie: jeżeli rzeczywiście wprowadzilibyśmy wszystkie zaproponowane w ACTA rozwiązania i nasze organy publiczne zaczęłyby przekazywać instytucjom prywatnym dane dotyczące ludzi, którzy konwencję narusili. Moglibyśmy, wjeżdżając do kraju X, zostać zatrzymani na lotnisku jako osoba, której ktoś Y potrzebuje do przeprowadzenia postępowania cywilnego lub karnego przed krajem X.

## Art. 31 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej

1. Wolność człowieka podlega ochronie prawnej.
2. Każdy jest obowiązany szanować wolności i prawa innych. Nikogo nie wolno zmuszać do czynienia tego, czego prawo mu nie nakazuje.
3. Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej albo wolności i praw innych osób. Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw.



Poczuj się świetnie,  
włóż szpilki

MODA

CIEKAWSZA STRONA KOBIECOŚCI

kobieta.wp.pl



# Kulturalny krwiobieg Polski

## Fragmenty opublikowanego przez Centrum Cyfrowe raportu „Obiegi kultury. Społeczna cyrkulacja treści”

**R**aport opisuje, jak książki, muzyka i filmy krążą wśród Polaków, którzy czasem je kupują, częściej jednak zdobywają, wykorzystując Internet, pożyczają od znajomych lub kopiują. Autorzy nie stawiają wyraźnej granicy między obiegiem legalnym i nielegalnym – bo granice między nimi są rozmyte i często nieczytelne dla ich uczestników. Nie jest to więc raport o piratach, ale po prostu o ludziach uczestniczących w praktykach nieformalnej wymiany treści. Odejście od prostego podziału na legalne i nielegalne ma jeszcze jeden cel: wsparcie realnego dialogu w sprawie sposobów docierania do treści kultury w Polsce. Nadużywane etykiety „piractwo” czy „kradzież” nie ułatwią budowy tego dialogu.

### Co się okazało?

- Jedynie 13 proc. Polaków w ciągu ostatniego roku kupiło książkę, film lub nagrania muzyczne.
- W nieformalnej wymianie książek, muzyki i filmów za pośrednictwem Internetu bierze udział co trzeci Polak.
- Z wymiany treści cyfrowych korzystają głównie młodzi – deklaruje to tylko 17 proc. osób w wieku 40-59 lat i jedynie 6 proc. osób starszych.

Badanie nie potwierdziło tezy o zastępowaniu obiegu formalnych przez nieformalne. Osoby najintensywniej uczestniczące w nieformalnych obiegach treści, tj. internauci ściągający pliki, stanowią 32 proc. kupujących książki, 31 proc. kupujących filmy i ponad połowę grupy osób kupujących muzykę. Największy procent jednocześnie kupujących i korzystających w sieci stanowi grupa wiekowa 15-24 lata.

Większość Polaków – aż 62 proc. – nie uczestniczy ani w formalnych, ani w nieformalnych obiegach treści kulturowych. Ich główną formą aktywności kulturowej jest zapewne

oglądanie telewizji. Natomiast jedna czwarta Polaków to osoby, które uczestnicząc w nieformalnym obiegu, nie kupują żadnych treści w obiegu formalnym. Odsetek takich osób jest dużo wyższy w młodszych pokoleniach, a spada gwałtownie powyżej 50. roku życia.

Aktywni internauci okazali się być grupą wyjątkowo kulturalną – np. 89 proc. tej grupy deklaruje, że w minionym roku przeczytało książkę. Równocześnie udział w nieformalnym obiegu treści jest wśród aktywnych in-

ternautów z Internetu – na przykład z sieci wymiany plików lub ze stron z plikami.

Jeśli udział w tych obiegach zdefiniujemy jeszcze szerzej, tak by objął wszelkie nieformalne kanały dostępu do treści (a więc nie tylko streaming, wymienianie się plikami przez znajomych itd.), to udział w takich obiegach deklaruje 92 proc. przebadanych aktywnych internautów. Uwzględniając także nieformalne obiegi treści w formatach fizycznych (np. wymianę i kopiowanie książek lub płyt CD i DVD), to w tak zdefiniowanych obiegach uczestniczą praktycznie wszyscy przebadani (98 proc.). Badanie dowodzi więc, że wśród osób korzystających na co dzień z Internetu nieformalna, pozarynkowa ekonomia treści kulturowych jest normą. Dodatkowo trzy czwarte badanych deklaruje udział w obiegach związanych ze ściąganiem treści.

Jak badani uzasadniają swój udział w nieformalnym obiegu? Dla trzech czwartych najważniejszymi powodami są cena oraz większy wybór treści dostępnych w Internecie, dwie trzecie wskazuje na większą aktualność treści z sieci.

Spośród osób korzystających w ostatnim miesiącu z plików na komputerze aż 59 proc. pożyczowało filmy lub seriale od znajomych. Widać więc wyraźnie, że na techniczne sieci wymiany plików nakładają się sieci społeczne – wymiana filmów jest częścią życia rodzinnego i towarzyskiego.

Jaki jest stosunek aktywnych internautów do obiegu nieformalnego? Dwie ekstremalne postawy reprezentują fani (8 proc.) uważający, że „przecież i tak wszyscy ściągają”, oraz krytycy (11 proc.), zdaniem których ściąganie jest kradzieżą, a prawowicie winno być surowsze dla osób pobierających z Internetu nieautoryzowane treści. Zdanie

trzeciej grupy (13 proc.) „ściąganie jest łatwiejsze” – do obiegu formalnego zniechęca ich nie cena, lecz niewygodę związane z korzystaniem z oficjalnej oferty, jakich nie widzą w obiegu nieformalnym. Ostatnia – i zarazem najliczniejsza, bo obejmująca aż połowę aktywnych internautów – grupa twierdzi, że nieformalny obieg po prostu poszerza ich horyzonty. Za kluczowy uważają fakt, że dzięki Internetowi znają więcej i wiedzą więcej – a nie, że mogą pozyskiwać treści za darmo.

### Co z tego wynika?

Badanie potwierdziło, że pozyskiwanie treści w sposób nieformalny jest częstym zjawiskiem wśród osób aktywnych kulturowo. Bardziej może zaskakiwać fakt, że wśród aktywnych internautów jest to niemal powszechna praktyka. Co równie istotne, skala tego obiegu jest dużo większa od skali obiegu formalnego – kupowanie książek, muzyki czy filmów jest znacznie mniej popularne niż pożyczanie książek, wymienianie się płytami czy ściąganie plików. Bardziej popularne są jedynie media nadawcze: telewizja i radio.

Korzystanie z treści w postaci cyfrowej zachodzi znacznie częściej niż wymiana nośników fizycznych. Co więcej, na tę całą populację internautów okazali się być osobami wyjątkowo aktywnie uczestniczącymi w kulturze. Można więc uznać, że brak dostępu do Internetu, wykluczenie ze społeczeństwa cyfrowego wiąże się z ogólnie niskim poziomem aktywności kulturowej. Okazuje się, że podział na osoby korzystające z Internetu (zwłaszcza korzystające intensywnie) oraz na cyfrowo wykluczonych nakłada się na bardziej fundamentalny podział na osoby aktywne kulturowo oraz te, dla których korzystanie z treści ogranicza się do korzystania z mediów nadawczych. To zróżnicowanie ma dla codziennych praktyk kulturowych jeszcze większe znaczenie niż różnice pokoleniowe, w wykształceniu czy te dotyczące miejsca zamieszkania – choć jest z nimi powiązane.

Dla publicznej debaty o tym, jak Polacy postrzegają treści kultury, znaczenie może mieć spostrzeżenie, że obiegi formalny i nieformalny w wielu wypadkach nie stanowią dla siebie wykluczających się alternatyw, tylko uzupełniają się nawzajem. Osoby zainteresowane treściami kultury uzyskują do nich dostęp i korzystają z nich za pośrednictwem

różnych kanałów – zarówno oficjalnych, jak i nieoficjalnych. Istnieje jednak także znacząca grupa osób, które uczestniczą wyłącznie w obiegu nieformalnym. Naszym zdaniem nie są to osoby, które zrezygnowały z uczestnictwa w obiegu rynkowym. Sądzymy, że zachodzi raczej proces odwrotny – poszerzania się skali aktywności kulturowej i konsumpcji treści dzięki obiegom nieformalnym.

Ściąganie, pożyczanie czy kopiowanie nie jest więc prostym przeciwieństwem kupowania. Podobnie trudno wytyczyć linię podziału między wymianą treści wśród znajomych i – za pośrednictwem Internetu – z obcymi. Nie wykluczają się również obiegi treści przez Internet i na nośnikach fizycznych, wymienianych podczas kontaktów twarzą w twarz. Wprawdzie nie znalazła potwierdzenia teza o istnieniu hybrydowego obiegu, w którym ściągnięte z sieci treści byłyby udostępniane za pośrednictwem fizycznych nośników osobom niekorzystającym z Internetu. Jednak sami internauci wymieniają się treściami na różne sposoby, a treści krążą poza siecią zarówno wewnątrz gospodarstw domowych, jak i poza nimi. Powyższe obserwacje stanowią wyzwanie tak dla polityki kul-

W naszym badaniu świadomie unikaliśmy perspektywy prawnej, wymagającej oceny poszczególnych praktyk jako legalnych lub nielegalnych. Ten – naszym zdaniem – dominujący w odniesieniu do nieformalnego obiegu treści punkt widzenia utrudnia zrozumienie wymiaru kulturowego i społecznego tych zjawisk. Stygmatyzuje bowiem popularne praktyki, nie pozwalając na ocenę skutków innych niż domniemana kradzież własności intelektualnej i utrata zysków przez przemysł kultury. Stawia więc gotowe, często niepoparte faktami diagnozy w sytuacji, gdy należy dopiero testować hipotezy.

Wyniki badania wskazują na jeszcze jeden powód, dla którego na potrzeby badań kulturowych należy brać w nawias aspekt prawny – ocena legalności praktyk dzieli bowiem użytkowników na dwie rozłączne podgrupy, „dobrych konsumentów” i „złych złodziei”. Nasze badanie wskazuje tymczasem, że „piraci” stanowią najliczniejszą grupę wśród osób uczestniczących w formalnym, komercyjnym obiegu. Ważna jest perspektywa samych użytkowników – niecałe 10 proc. z nich uznaje praktyki związane z nieformalnym obiegiem treści za złe, nielegalne lub niemoralne. Tradycyjna

optyka każe traktować osoby ściągające i wymieniające się treściami jako świadomych złodziei. Z naszego badania wynika raczej, że ludzie nie mają takiej świadomości. Po części wynika to z faktu, że status prawny różnych form uczestnictwa w obiegu nieformalnym często nie jest oczywisty, a w pewnej mierze wiąże się ze zmianą systemu wartości i etycznego wymiaru obrotu treściami kultury.

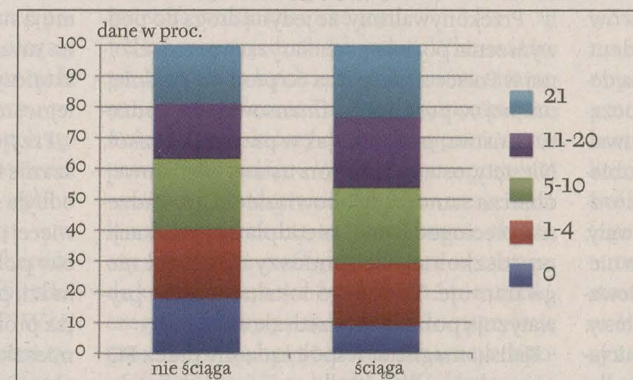
Państwo musi poszukiwać równowagi pomiędzy interesem właścicieli praw autorskich a dobrem publicznym. Bezkrzytyczne faworyzowanie którejkolwiek ze stron

jest niedopuszczalne. Naszym zdaniem podstawą polityki kulturalnej powinno być założenie o współwystępowaniu i nakładaniu się na siebie różnych obiegu treści. Z kolei jej zadaniem – budowanie takich instytucji i ram funkcjonowania kultury, by za pomocą tych zróżnicowanych obiegu krzewić zarówno twórczość, jak i możliwości korzystania z niej. Opierając się na faktach i z uwzględnieniem głosu wszystkich zainteresowanych stron. •

Powody ściągania książek z Internetu za darmo



Liczba przeczytanych książek dla osób ściągających i nieściągających treści





# Miasto to nie firma!

Masowa prywatyzacja przedszkoli wywołała społeczny opór w Kaliszu. To walka o demokrację bezpośrednią. Bo obecna jest chora, a nie obywatelska

IGOR STRAPKO

**S**amorządowa koalicja PO oraz stowarzyszeń Samorządny Kalisz i Wszyscy dla Kalisza chce sprywatyzować 16 spośród 20 kaliskich przedszkoli. Spór, który dotyczy dziś stutysięcznego miasta w południowej Wielkopolsce, jutro może rozlać się na cały kraj.

Przemysław Sadura, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, uważa, że Kalisz oraz Radom – gdzie przedszkola publiczne także mają być masowo przekształcane w prywatne – są polem neoliberalnego eksperymentu. – Sonduje się tu skalę protestów lokalnych społeczności wobec projektu likwidowania publicznej edukacji. Od tego, jak sprawa zostanie rozstrzygnięta w tych dwóch miastach, może zależeć skala przekształceń publicznych przedszkoli w całym kraju.

Krytykowany za pominięcie mieszkańców w dyskusji o losie przedszkoli wiceprezydent Dariusz Grodziński (PO) stwierdził, że na debatę przyjdzie czas po planowanym na początek lutego przyjęciu przez radę miasta uchwał intencyjnych o likwidacji placówek. W ubiegłym roku przy likwidacji Miejskiego Ośrodka Kultury władze Kalisza także przekonywały, że przyjęcie uchwały intencyjnej o niczym nie przesądza. Pół roku później MOK zlikwidowano, zostawiając bez odpowiedzi liczne protesty.

Członkowie stowarzyszenia Kaliska Inicjatywa Miejska walczą o „odzyskanie miasta dla mieszkańców”. Aktywistka KIM Paulina Drzewińska, 25-letnia prawniczka mówi: – Ludzie, którzy powinni nas reprezentować, stracili kontakt ze społecznością. Trwająca właśnie budowa aquaparku nie jest najważniejszą potrzebą kaliszczan, są nią natomiast powszechnie dostępne przedszkola. Przed wyborami powtarzano, że powinny być bezpłatne, bo dzieci z biedniejszych rodzin nie mają dostępu do prywatnych. Kiedy trafiają do podstawówek, będą w gorszej pozycji niż ich rówieśnicy z bogatszych domów. To nie jest wyrównywanie szans.

Przemysław Sadura dodaje: – Kryzys uderza w samorządy, obciążane są one kosztami prowadzenia przedszkoli przy braku subwencji



Władze Kalisza chcą zlikwidować publiczne przedszkola. Wola mieszkańców nie ma znaczenia

z MEN. Blisko dwa lata temu z Magdaleną Kaszulanis, rzeczniczką ZNP, napisaliśmy „List otwarty w sprawie polskich przedszkoli”. Przekonywaliśmy, że jedyną drogą do podwyższenia poziomu scholaryzacji przedszkolnej w Polsce z niespełna 60 proc. do średniej unijnej 90 proc. jest jej finansowanie z budżetu państwa, podobnie jak w przypadku szkół. Niestety, ostatnia reforma ustawy oświatowej obarcza samorządy obowiązkiem prowadzenia pięciogodzinnej nieodpłatnej edukacji przedszkolnej, ale funduszy na ten cel nie gwarantuje. To dlatego lokalne władze prywatyzują publiczne przedszkola.

Kaliszki magistrat współrządzony przez PO nie podjął walki o środki na powszechną edukację przedszkolną. Zamiast tego z przychylnych władzom miasta lokalnych mediów kaliszanie dowiadują się, że przekształcenie przedszkoli „to nie likwidacja” (tytuł w tygodniku redagowanym przez żonę prezydenta miasta), że sprywatyzowane placówki nie będą nastawione na zysk i że generalnie to, co prywatne, jest lepsze.

– Dopóki nie pracowałam w niepublicznym przedszkolu – opowiada jedna z nauczycielek – sama byłam przekonana, że prywatne jest lepsze. Dopiero praca w przedszkolu firmy uzmysłowiła mi, jak nieprawdziwy jest taki pogląd. Dzieci mają zajęcia w grupach do 35 osób, oszczędza się na wszystkim, np.

papierze toaletowym, likwidując etaty pomocy przedszkolnej, zatrudniając nauczycieli stażistów czy pracowników, którzy dopiero podbijają studia dające kwalifikacje. Każda krytyka na uwaga dotycząca stosunków pracy może skończyć się zwolnieniem i zatrudnieniem innej młodej nauczycielki.

„Przyjdź i zaprotestuj” – skrzyknęli się kaliszczanie na Facebooku na demonstrację, która odbyła się w ubiegły wtorek. Chodziło im o więcej niż przedszkola. Demonstrowali „przeciw polityce, która zyski przedkłada nad potrzeby ludzi; przeciw arogancji władzy, która kolejno próbuje decyzje kluczowe dla jakości życia mieszkańców Kalisza podejmować ponad głowami; przeciw polityce, która kosztami zysku wywołanego przez wielki biznes próbuje obciążać zwykłych ludzi”.

Informację o wiecu utrzymywana przez samorząd wojewódzki lokalna rozgłoszała zakończona zdaniem: „Jeśli jest potrzeba, niezadowolonych znajdzie się zawsze i wszędzie”. – W dni zebrałiśmy pod protestem 4600 podpisów. To więcej niż połowa liczby potrzebnej do ogłoszenia referendum. Demokracja bezpośrednia to chyba jedyna droga do odzyskania głosu – powiadają kaliszcy aktywiści.

Igor Strapko jest prekursorem, aktywistą miejskim, członkiem Pracowniczej Demokracji, stowarzyszenia Zmiany i klubu Krytyki Politycznej w Kaliszu

# Internet wychodzi na ulice



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem

**W** sytuacji politycznej, jaką stworzyły protesty przeciw ACTA, zaskakuje mnie tylko jedno. Wygląda na to, że premier i ministrowie naprawdę nie spodziewali się takiej skali społecznego oporu. A powinni byli! Ostatnie lata rządów PO polegały na dużym stopniu na rozbrajaniu potencjału społecznego oporu dzięki częściowemu realizowaniu żądań najbardziej aktywnych ruchów społecznych. Czyli np. w odpowiedzi na żądanie parytetu płci na listach wyborczych Platforma wprowadziła kwoty – wyznaczając niskie, żeby nie drażnić za bardzo konserwatystów, ale dość wysokie, żeby zdemobilizować społeczne poruszenie. W tej grze organizacje zajmujące się prawami cyfrowymi były dla rządu najtrudniejszym przeciwnikiem. Kompetentne i czujne, a na dodatek posiadające własne kanały komunikacji i mobilizowania ludzi, okazały się zdolne na bieżąco śledzić projektowane zmiany w prawie i na bieżąco reagować, kilkakrotnie zmuszając rząd do ustępstw.

Czy tak będzie i tym razem? Kiedy odda się ten tekst, wszystko wskazuje na to, że rząd ACTA podpisze. Ale obecne protesty to dopiero rozgrzewka. O co chodzi przeciwnikom ACTA? Można wśród nich wyróżnić trzy nurty: zachowawczy, radykalny i reformistyczny. Przedstawiciele nurtu zachowawczego mówią: własność intelektualną trzeba chronić, ale narzędzia stosowane przez państwo

w tym celu powinny być proporcjonalne. Na przykład postulat prewencyjnego wykastrowania wszystkich mężczyzn nie zyskałby poparcia, mimo że skutecznie zapobiegłoby to przytłaczającej większości gwałtów, a wszyscy zgadzamy się, że gwałt jest rzeczą złą, gorszą niż dzielenie się plikami. Chociaż w tej ostatniej kwestii polski rząd ma chyba inne zdanie: Polska odmówiła podpisania konwencji o zwalczaniu przemocy wobec kobiet, nie zgadzając się na to, aby gwałt był przestępstwem ściganym z urzędu, tymczasem lekką ręką zgadza się na to, aby z urzędu ścigano naruszenia praw autorskich... Owszem, piractwo to kradzież, ale prawo, które w imię walki z piractwem pozbawia ludzi prawa do prywatności i ochrony danych osobowych, a także wprowadza pozasądowy wymiar sprawiedliwości, nie może być dobre. Nawet jeśli przyświecają mu słuszne intencje.

Nie wszyscy jednak tak sądzą. Własność intelektualna to kradzież! – tak można, trawestując powiedzenie Proudhona, streścić stanowisko tych, którzy domagają się zniesienia prawa autorskiego. W końcu za zaprojektowanie czy zbudowanie domu, za uszyście sukienki czy garnitur, za namalowanie obrazu czy stworzenie rzeźby nie pobiera się tantiem do końca życia, a tym bardziej po śmierci. Dlaczego ci, którzy piszą książki albo nagrywają piosenki, mają być traktowani inaczej niż pozostali twórcy? Tym bardziej że ich praca nie jest przecież tylko ich zasługą – w każdym napisanym tekście czy nagranej piosence czy opatentowanym wynalazku uobecnia się też praca rodziców, nauczycieli, współpracowników czy przyjaciół, którzy nas inspirują. To, co tworzymy, korzystając z dorobku ludzkości, powinno ten dorobek powiększać. Bez żadnych warunków.

Ale czy prawa autorskie w dzisiejszym świecie rzeczywiście służą autorom? To wcale nie jest takie oczywiste. W wielu branżach rzadko zdarza się, że prawa autorskie pozostają przy autorach – częściej są przejmowane przez wydawcę, wytwórnę czy innego pośrednika. Wydawnictwa i czasopisma naukowe ru-

tynowo domagają się przeniesienia na siebie wszystkich praw autorskich, na zawsze (i na ogół za darmo). Wydawnictwa publikujące przekłady na ogół robią tak samo, z tą różnicą, że wypłacają liche honorarium (znalazłem jedno, które starą zwyczajem podpisuje z tłumaczami umowę na określony nakład, ale to już dzisiaj rzadkość). Jest tajemnicą poliszynela, że większość dochodów z tantiem zgarniają nie muzycy, lecz wytwórnie, które organizują dystrybucję – ale zarazem strzegą dostępu do masowej publiczności. Dzisiejszy reżim praw autorskich nie tylko ogranicza dostęp do kultury i wiedzy po stronie użytkowników, ale bardzo często służy wywłaszczaniu autorów i autorek z owoców ich pracy. Określenie „prawa autorskie” jest mylące, skoro prawa te nie pozostają wcale przy autorach, lecz są akumulowane przez korporacje.

Zwolennicy tego trzeciego nurtu (w tym np. szwedzka Piratpartiet) nie domagają się zupełnej likwidacji praw autorskich, lecz ich gruntownej reformy. Zdają sobie sprawę, że kształt praw autorskich to wistocie pewien kompromis czy umowa społeczna między twórcami, odbiorcami a pośrednikami. Dlatego należy dążyć do stworzenia takiego systemu, w którym słuszne interesy tych trzech stron pozostawałyby w równowadze: twórcy mieliby gwarancję środków do życia, odbiorcy zapewnioną możliwość taniego lub darmowego dostępu do kultury, a pośrednicy słusznego wynagrodzenia za ich (jak najbardziej potrzebną i wartościową) pracę.

Istnieją różne pomysły na to, jak to osiągnąć: powszechny dochód gwarantowany, który zapewniłby wszystkim ludziom możliwość bezinteresownego tworzenia i dzielenia się swoją twórczością, „crowdfunding” (kończy mi się miejsce na felieton, więc tych, którzy nie znają tego pojęcia, proszę o wygooglenie) czy specjalny abonament doliczany do opłat za Internet tym użytkownikom, którzy chcą ściągać z sieci filmy czy muzykę. Ludzkość ma wiele pomysłów i byłoby dobrze, gdyby nasz premier rozejrzał się po świecie, zamiast trzymać się uparcie przebrzmiałych rozwiązań. ●





Angela Merkel, Donald Tusk, José Manuel Barroso w Warszawie – kongres Europejskiej Partii Ludowej

# Liczy się tu i teraz

Wypowiedź Donalda Tuska w sprawie Węgier nie powinna dziwić. Fidesz Viktora Orbána jest częścią Europejskiej Partii Ludowej, a to ona będzie miała wpływ na wybór przyszłego szefa Komisji Europejskiej

ADAM BODNAR

**D**onald Tusk w jednej z ostatnich wypowiedzi okazał wsparcie dla rządu Viktora Orbána, krytykując przesadzone podejście instytucji unijnych do niektórych reform na Węgrzech. To swoiste poparcie spotkało się z oburzeniem ze strony niektórych komentatorów (felieton Tomasza Piątka na s. 28 – przyp. red.). Trudno się z tym nie zgodzić. Fidesz i Orbán w istocie dokonali remontowania demokracji na Węgrzech. Pozbawili władzy praktycznie wszystkie instytucje kontrolne wobec rządzącej większości. Dobrze, że jeszcze instytucje unijne mają i władzę, i odwagę, aby szefa rządu w Budapeszcie przymusić do przywrócenia Węgier na ścieżkę demokratyczną. Żal, że Donald Tusk nie dostrzega tego zagrożenia i nie pamięta, że Unia Europejska to jest wspólny obowiązek wszystkich państw członkowskich przestrzegania podstawowych standardów demokratycznych.

Ale może i wypowiedź premiera, i postawa innych polityków partii rządzącej (milczenie Radosława Sikorskiego, poparcie Grzegorza Schetyny dla Orbána) nie powinny aż tak bardzo dziwić. Czy nie jest to bowiem kolejny

przykład podejmowania decyzji na zasadzie: liczy się tu i teraz, bieżący interes, ewentualnie perspektywa nieodległych sukcesów? Na ołtarzu Realpolitik należy składać – zarówno w kraju, jak i za granicą – większe wartości, jak demokracja, prawa człowieka czy przeciwdziałanie dyskryminacji. Kiedy są potrzebne, to oczywiście z tej karty się korzysta. Wtedy można nawet poprzeć parytety, prawa kobiet czy pochwalić się wyrażeniem na temat osób homoseksualnych. Kiedy przeszkadzają – szybko się o nich zapomina i gra kartą racjonalności, modernizacji, racji stanu czy dobrem kraju. In vitro – nie ma pieniędzy, temat zastępczy. Związki partnerskie – są ważniejsze sprawy w kraju, jak choćby kryzys ekonomiczny. Przy dobrej propagandzie i dzięki wiernym zastępcom partyjnym nawet elitom intelektualnym trudno się w tym połapać, a już szczególnie elektoratowi, który – wobec braku realnego wyboru – i tak partię rządzącą ciągle popiera.

Przypomnieć należy choćby deklaracje dotyczące wycofania się z haniebnego protokołu polsko-brytyjskiego do Karty praw podstawowych UE. Premier Tusk deklarował, że Polska będzie przestrzegać wolności i protokół jest zbędny. Ale jak przyszło co do czego, to okazało się, że rząd nie chce ryzykować kampanii

nienawiści ze strony Prawa i Sprawiedliwości i o pomyśle wycofania się szybko zapomina.

Prawo antydyskryminacyjne przyjęte zostało w grudniu 2010 r. tylko dlatego, że Komisja Europejska zapowiedziała wszczęcie sprawy przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości. Gdyby nie ten fakt oraz zbliżające się objęcie prezydentury w UE, pewnie do dzisiaj nie mielibyśmy tych przepisów. O tym, że brakuje jakiegokolwiek idei stojącej za przyjęciem tej ustawy, świadczy to, że ma ona charakter niezwykle okrojony. Co więcej, Polska już dawno mogłaby ratyfikować Konwencję ONZ o Prawach Osób z Niepełnosprawnościami, a niewiele działań podejmuje w tym kierunku.

Relacje dyplomatyczne mają podobny charakter. Podczas niedawnej wizyty prezydenta Bronisława Komorowskiego (oraz zastępów wiceprezydentów) w Chinach dbania o wartości i prawa człowieka było tyle co listków na gałęzi busa ogryzionej przez pandę. Zwyciężyła bańka wiedzy. Tymczasem liderzy innych państw wiedzący Chiny nie zapominają upominąć o dysydentów. Podobne przykłady z polityki międzynarodowej można mnożyć (np. w niesieniu do Azerbejdżanu). Już nie wspomnę o totalnym milczeniu w kwestii więzień w czasie wizyty Baracka Obamy w Polsce.

Do tego warto dodać mnóstwo frazesów na temat jakości stanowionego prawa, potrzeby reform w tym zakresie, budowania państwa prawa i zaufania obywatela do państwa. Jak przyjdzie co do czego, to o tych wartościach rząd szybko zapomina i znajduje wrogów publicznych, aby odbić się od sondaży – począwszy od sprzedawców dopalaczy, przez kibiców, po hakerów. Niedawna afera z brakiem konsultacji w sprawie przyjęcia ACTA i kompletne ignorowanie masowych protestów jest tylko kolejnym przypadkiem to potwierdzającym.

Ale Donald Tusk – kiedy opinia międzynarodowa na niego patrzy – ma też inną twarz. Twarz Europejczyka, laureata Nagrody im. Karola Wielkiego, wielkiego orędownika integracji europejskiej, wręcz zbawiciela strefy euro i idei integracji. Jego minister spraw zagranicznych jawi się jako kolejny Joschka Fischer i swoim berlińskim przemówieniem nadaje nowy rytm integracji europejskiej, mówiąc o nowym ładzie na kontynencie, który musi znaleźć równowagę między odpowiedzialnością, solidarnością i demokracją. Donald Tusk popiera także Partnerstwo Wschodnie, promuje demokrację i prawa człowieka

w państwach byłego ZSRR. Uwolnienie więźniów politycznych uznaje za warunek konieczny do podjęcia współpracy z Białorusią. Z radością przyjmuje zmiany demokratyczne w państwach arabskich. Można by wręcz powiedzieć – prawdziwy europejski mąż stanu.

Jak to zatem jest możliwe, że mając taką europejską renomę nagle taki polityk jak Donald Tusk może promować Viktora Orbána? Niestety wygląda na to, że cała polityka zagraniczna oparta jest na bieżącym interesie politycznym, a nie wynika z wewnętrznego ucieleśnienia i zrozumienia dla podstawowych wartości budujących współczesną demokrację. Należy zadać otwarte pytanie: czy liczy się to, że Fidesz jest częścią Europejskiej Partii Ludowej, a to ona będzie miała wpływ na wybór przyszłego szefa Komisji Europejskiej? Skoro premier zrezygnował z żyrandola przy Krakowskim Przedmieściu na rzecz realnej władzy, to władzę pewnie chciałby rozszerzać. W kraju wygrał już wszystko – właśnie taką pozbawioną dalekosiężnych wartości polityką. Teraz czas na władzę na szczeblu europejskim. Rzekomy sukces prezydentury Polski w UE może w tym pomóc. Czas odchodzących zachodnich

liderów również. Brakuje tylko głosów, a przecież Orbán może być przez Unię krytykowany, ale nie zanoszą się, aby na Węgrzech ktokolwiek mógł go zastąpić – przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Chciałbym się mylić, że to nie osobiste ambicje grają tutaj rolę. Ale niestety zbyt wiele razy działania rządu pod kierownictwem Donalda Tuska dotyczące praw człowieka były całkowicie niezrozumiałe i niekonsekwentne. Pozwalały utrzymać władzę, ale król stawał się coraz bardziej nagi. Chyba sam premier musi zdawać sobie sprawę, że ten brak logiki może czasami wychodzić bokiem – jak choćby ostatnio.

Podziękowania Viktora Orbána wygłaszane w programie Jana Pospieszańskiego były z pewnością dla Tuska niezapomnianym przeżyciem. Podobnie jak oglądany ponad miesiąc wcześniej program tegoż samego autora obrzucający błotem drugiego polskiego laureata Nagrody im. Karola Wielkiego – Bronisława Geremka.

HR

Adam Bodnar jest wiceprezesem zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka oraz adiunktem w Zakładzie Praw Człowieka UW

REKLAMA

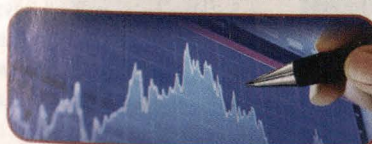
SZKOLENIA I KONFERENCJE

## ZAPRASZAMY NA KONFERENCJE



### INWESTYCJE W MORSKIE FARMY WIATROWE

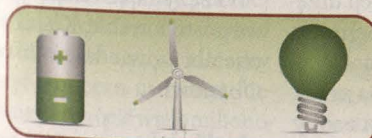
22.02.2012 r. – Warszawa



### STRATEGIE INWESTYCYJNE NA 2012 ROK

– szanse i zagrożenia

23.02.2012 r. – Warszawa



### ENERGIA Z ODPADÓW

Nowe inwestycje w gospodarce odpadami

29.02.2012 r. – Warszawa



### UNIFIED COMMUNICATIONS

– jak zintegrowana komunikacja wpływa na efektywność prowadzonego biznesu?

luty 2012 r. – Warszawa

Kontakt: tel. (22) 46 30 658 Zgłoszenia i szczegóły: [www.rp.pl/konferencje](http://www.rp.pl/konferencje)

BEZPŁATNY UDZIAŁ DLA KWALIFIKOWANEJ PUBLICZNOŚCI



# Co się stało z dziewczyną o perłowych włosach?

Sytuacja na Węgrzech dojrzała do tego, aby zajęła się nią Komisja Europejska

PIOTR BOGDANOWICZ

**N**ie ma szczęścia Unia Europejska do państw dawnej Monarchii Austro-Węgierskiej. 12 lat temu Europę wstrząsnęła Austria, pozwalając na wejście do rządu skrajnie prawicowej Partii Wolności Jörga Haidera. Teraz Komisja Europejska wszczęła postępowanie przeciwko Węgrom „w trosce o niezależność węgierskiego banku centralnego, organów ochrony danych oraz w kwestiach związanych z sądownictwem”.

Z formalnego punktu widzenia w Austrii nie wydarzyło się nic, co uzasadniałoby reakcję Unii. Nie przyjęto niezgodnych z prawem unijnym ustaw oraz nie naruszono bezpośrednio praw człowieka, podstawowych wolności oraz zasad państwa prawnego. Nałożone wówczas sankcje dyplomatyczne stanowiły wyłącznie reakcję państw członkowskich, a nie Unii. Tymczasem na Węgrzech weszły w życie przepisy, które w ocenie Komisji naruszają przepisy traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, unijnych dyrektyw oraz Karty Praw Podstawowych. Komisja nie mogła nie zareagować. Skala jej zarzutów jest tak duża, że aż każde zapytać:



Śniłem czy też była to prawda?

Komisja zarzuca bowiem Budapesztowi naruszenie przepisów dotyczących niezależności krajowego banku centralnego, krajowego organu ochrony danych oraz niezawisłości sędziowskiej. Nie chodzi zatem o szczegółowe regulacje gospodarcze, ale przepisy stanowiące podstawę funkcjonowania państwa prawa.

Zagrożenie niezależności węgierskiego banku centralnego polega między innymi na możliwości bezpośredniego udziału ministra w posiedzeniach rady polityki pieniężnej oraz konieczności wcześniejszego przesyłania programu posiedzeń banku do rządu, co ogranicza możliwość przeprowadzania poufnych debat. Komisji Europejskiej nie podobają się

również postanowienia węgierskiej konstytucji, umożliwiające połączenie krajowego banku centralnego z organem nadzoru finansowego, w wyniku którego prezes banku byłby zwykłym zastępcą wiceprzewodniczącego nowej struktury. KE kwestionuje też skrócenie kadencji urzędującego komisarza ds. ochrony danych i wprowadzenie możliwości arbitralnego odwołania przez prezydenta lub premiera osoby sprawującej nowe stanowisko do spraw nadzoru danych.

Komisja obawia się skupienia władzy w zakresie organizacji i funkcjonowania sądownictwa w rękach jednej osoby – przewodniczącego nowego Krajowego Biura Sądownictwa (dotychczas decyzje były podejmowane kolegialnie). Wreszcie, nie

podoba się jej obniżenie obowiązkowego wieku emerytalnego m.in. sędziów z 70 lat do ogólnego wieku emerytalnego wynoszącego 62 lata. W wyniku tej zmiany 274 sędziów (w tym sędziów Sądu Najwyższego) musi obowiązkowo przejść na emeryturę.

Wszczynając bezprecedensowe postępowanie, Komisja chciała powiedzieć Viktorowi Orbánowi:

**obudź się!**

Odważna i szybka decyzja Komisji podważa polityczne reformy Orbána i pokazuje, że Komisja widzi siebie nie tylko w roli instytucji proponującej rozwiązania kryzysowe, które powinny zostać wdrożone w Unii, ale również dbającej o to, aby ustawa dawstwa państw członkowskich

opierały się na podobnych demokratycznych zasadach. Warto cytować prof. Andreę Biondiego z londyńskiego King's College, który komentując wydany w 2005 r. wyrok Trybunału Sprawiedliwości w sprawie Berlusconi, napisał, iż „trudno zaakceptować, aby w porządku konstytucyjnym Unii Europejskiej trudności w jednym państwie członkowskim były uważane za kwestię czysto wewnętrzną”.

Wtedy chodziło o wątpliwości sądu włoskiego w postępowaniu karnym przeciwko byłemu premierowi Włoch, który oskarżony o podanie nieprawdziwych informacji w rocznych sprawozdaniach finansowych swoich spółek powoływał się na korzystniejsze dla siebie przepisy zmienionego włoskiego prawa. Komisja wskazywała wówczas, że sąd krajowy powinien stosować ustawę krajową obowiązującą w czasie popełnienia zarzucanych czynów i zgodną z prawem unijnym, a tym samym pominąć ustawę późniejszą, wprowadzającą zmiany dla oskarżonego, lecz sprzeczną z tym prawem. Ostatecznie Trybunał nie podzielił argumentacji Komisji Europejskiej, uznając, że dyrektywa unijna nie może samoistnie i niezależnie od wewnętrznej ustawy państwa członkowskiego wydanej w celu jej wykonania być podstawą ustalenia lub zaostrzenia odpowiedzialności karnej oskarżonych. „Zwycięstwo” Berlusconi okazało się jednak pyrrusowe, bo kilka miesięcy później i tak stracił władzę. Niedawno Trybunał orzekł zaś, iż należący do niego koncern medialny będzie musiał zwrócić wielomilionowe dotacje, które zostały przyznane niezgodnie z prawem unijnym. Do postępowania przed Trybunałem Sprawiedliwości w sprawie przeciwko Węgrom jeszcze daleko. Komisja zresztą wcale nie musi kierować skargi do Luksemburga. Gotowość do zmiany kontrowersyjnych przepisów, którą wstępnie wyraził Orbán,

może oznaczać, że jednak w Budapeszcie

**drzemie światło**

Sytuacja, w której Węgry pod wpływem Komisji zmieniają przepisy, wydaje się być najlepszym rozwiązaniem. Wszczynając postępowanie, Komisja potwierdziła

bowiem, że kłopot z Orbánem to kłopot Unii Europejskiej. Im szybciej zostanie on rozwiązany, tym lepiej.

**Piotr Bogdanowicz** jest doktorem nauk prawnych, adiunktem w Katedrze Prawa Europejskiego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego; prywatnie miłośnikiem Budapesztu

„Dziewczyna o perłowych włosach” to tytuł wielkiego hitu węgierskiej grupy rockowej Omega z 1969 r., jednej z nielicznych piosenek z bloku wschodniego, która odniosła sukces poza żelazną kurtyną.

Śródtytuły w artykule pochodzą z tekstu tego utworu.

REKLAMA

## Masz pod górkę z księgowością?

Jest proste rozwiązanie. „Mała księgowość”, sprawdzony program dla małych i średnich firm, pomoże Ci w fakturowaniu, prowadzeniu listy płac, księgi przychodów i rozchodów oraz przelewach do ZUS i urzędu skarbowego.

**W poniedziałek, 30 stycznia „Mała księgowość” cz. 1**  
**We wtorek, 31 stycznia „Mała księgowość” cz. 2 – kadry i płace**

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

**RZECZPOSPOLITA** **rp.pl/hity**



# Tusk jako gludzik

Nasz premier postanowił bronić Orbána i jego świństw. Przeprowadziliśmy sekcję Tuska w poszukiwaniu kręgosłupa i odkryliśmy, że...

TOMASZ PIĄTEK

**K**iedy leżałem i wyobrażałem sobie, jak będę pisał felieton, to byłem pewien, że nic się dużego nie wydarzy i że będę mógł pisać o jakichś miłych rzeczach, że będę pisał na przykład o redakcji „Przekroju” (ostatnio często tu bywam), która ma to do siebie, że kręca się tam naokoło goście z „Rzeczpospolitej” i „Uważam Rze” (i pewnego razu stało się tak w krainie Teletubisów, że Michał Karnowski chciał wsiąść do windy, ale zobaczył, że w środku już jest Roman Kurkiewicz ze mną, przestraszył się i nie wsiadł, i myśmymy z Kurkiewiczem się ucieszyli, bo nie wiedzieliśmy dotąd, że jesteśmy tacy groźni).

Myślałem sobie o osobliwych nazwach prowincjonalnych miejscowości w Skandynawii i układałem wierszyki w rodzaju: „Witam debila z Jyvaskyla” albo „Jak się masz ćwokku z Jokkmokku” i myślałem, żeby je sprzedać na bokku. Myślałem, żeby sprzedać te wierszyki na bokku „Uważam Rze” w celu dyskredytowania skandynawskiego socjalizmu, bo byłoby to dyskredytowanie akurat na poziomie „Uważam Rze”. Myślałem, że napiszę felieton o reklamie Choligripu, czy jak to się tam nazywa, w której występują małe, paskudne, jadłowite, miękkie, kleiste, zielonoprzezroczyste ludziki gluciki, czyli gludziki. Ale niestety włączyłem komputer, zajrzałem do gazety,

akurat właśnie do „Rzeczpospolitej” (żeby życie miało smaczek, raz prawiczek, raz prawaczek), i stało się tak w krainie Teletubisów, że felieton będzie o czym innym i nie będzie aż taki pogodny. „Polska zaoferuje, jeśli premier Viktor Orbán i Węgrzy będą tym zainteresowani, jakąś formę politycznego wsparcia, tak aby reakcje na sytuację na Węgrzech nie były przesadzone. Mam wrażenie, że część tych reakcji jest przesadzona, mówię bardziej o reakcjach politycznych niż czysto formalnych czy proceduralnych związanych z oceną Komisji Europejskiej (...). Węgry prezentują ciągle na poziomie europejskim standard demokratyczny. Nie ma żadnego powodu, aby podnosić takie larum, jak czynią to niektóre polityczne środowiska”. Kto to powiedział? Donald Tusk. Nasz uśmiechnięty premier, taki miły, taki elastyczny-demokratyczny, podobno.

No właśnie, standard demokratyczny. Skraca nie kadencji sędziom, żeby zamianować swoich kolesiów. Mianowanie żony kolesia na stanowisko przewodniczącej Krajowej Rady Sądowictwa, która będzie dyscyplinować sędziów i prokuratorów. Obsadzenie swoimi ludźmi Rady do spraw Mediów, która będzie wymierzać drakońskie grzywny niezależnym redakcjom za publikowanie informacji „niezgodnych z linią rządu”. Uznanie największej partii opozycyjnej za organizację zbrodniczą, aresztowanie jej liderów. To wszystko,

zdaniem Tuska, jest standardem demokratycznym. Ta wypowiedź ukazuje jego prawdziwą twarz. Pokazuje, jak bardzo jest on miły i demokratyczny. Od razu myśl skręca w kierunku miliona billingów, jakich zazyczyły sobie Tuskowe służby specjalne od operatorów telefonicznych. Od razu się przypominają, że Orbánowski Fidesz i Tuskowa PO są w jednej międzynarodówce – i że wielu działaczy Fidesza, kiedy mówi o Polsce, to przyznaje, że inspiracją nie jest dla nich nieudolny PiS, ale niezwykle skuteczna w zdobywaniu i utrzymywaniu władzy Platforma. Tusk jest taki jak Orbán. Jedyna różnica jest taka, że Orbán ma poważnych przeciwników, dlatego zakłada im kagańce. Tusk ma za przeciwnika śmieszno-strasny PiS, który sam napędza wyborców PO – dla tego nikomu kagańca zakładać nie musi.

Już wiele razy okazywało się, że nasz miękko-elastyczny premier nie jest wcale taki miły. Rozprawa ze Schetyną, mordercze exposé. A teraz Orbán. Czy tak jak jest twardy dysk jest także twardy Tusk? Twardy Tusk, którego twardy dysk liczy twardy zysk? Twardy kulator, który twardo kalkuluje, jak zgromadzić w swoich twardych rękach maksimum twardej władzy?

Ja myślę, że tak nie jest. Ja myślę, że Tusk jednak jest mięciutki. Miękki, kleisty, zielonoprzezroczysty. Tyle że wyjątkowo jadowy. Gludzik.



Viktor Orbán i Donald Tusk. Warszawa, 1 lipca 2011

# Dopadną mnie któregoś dnia



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu jest posłanką Ruchu Palikota

**J**uż nie mogę tego słuchać. Wyłączam telewizor. Otwieram laptopa. Zobaczę, co w poczcie – pomyślałam. Ojej! Ale się sygnęło – powiedziałam do siebie głośno. Kot, który drzemał na fotelu naprzeciw mnie, postawił uszy, nie otwierając oczu. Cały ekran komputera przykrywały wiadomości ze słownictwa ACTA w tytule. Są jakieś linki, analiza, emocjonalne pohukiwanie, podziękowania ludzi za wściekłość. Protestowałam wczoraj na ławie przeciw podpisaniu przez rząd tej umowy – no to mam... hi, hi, atak na moją skrzynkę pocztową. 165 e-maili od wczoraj. E tam – pomyślałam i uśmiechnęłam się bezwiednie. Minister Graś ma gorzej. W telewizorze widziałam, jak mówił, że zainteresowanie społeczeństwa stronami internetowymi rządu jest tak duże, że... całkiem je społeczeństwo wyłączyło. No proszę! Stronę Grasia też. Cóż, cudna ta strona musiała być.

Ale w poczcie jest też coś o mediach.

„Pani Aniu – czytam – niech Pani nie pozwoli mi wprowadzić nam abonamentu za telewizję. Niech Pani przyrzeknie...”.

No dobrze – odpisuję: „Droga Pani. Ja także uważam, że płacenie abonamentu za telewizję jest niesprawiedliwe. Znaczący za taką telewizję”. Pełną reklam i seriali brazylijskich w typie i poziomie, tańców i talk-show z gwiazdami i gwiazd z długimi nogami. Ale przecież nie wszystko straciliśmy – pocieszam się – bo przecież nadal mamy polityczny kit i praniemóżgu.

Ale po co mi telewizja? Jeszcze parę lat i trudno będzie odróżnić, skąd pochodzi program. Chcę Pegaz – mam. Chcę kaczo – kliknę i znajdę. Zatemknij, aby spojrzeć w wysublimowane dobrocią i empatią oblicze premiera Tuska (bo na sali sejmowej widuję go nader rzadko), to także wydułbię go sobie z czeluści sieci.

Zrobię to... i będę bandytą w spódnicy, złodziejką, szumowiną. Koncern medialny X zażąda od mojego dostawcy kontentu Y informacji o mnie. Dopadną mnie. Bez prokuratora, bez sądu wyrwą mi z portfela zadośćuczynienie za szkody i za utracone potencjalne korzyści. Wtedy pewnie pograżę się w poczuciu winy. Powiedzą mi, że okradałam swojego ulubionego twórcę. Że zabieram ciężko zapracowany chleb pana dziennikarza i jego rodziny. Będę płonęła ze wstydu. Będę płonęła, bo mamy ACTA i będziemy mieli wszystkie jego późniejsze konsekwencje, które oczywiście staną się „legislacyjnie konieczne”.

„Rząd ad ACTA” – przeczytałam na czymś transparentie podczas wczorajszej demonstracji. Obok typowych kibiców piłkarskich, zagorzałych wszechpolsaków widziałam na placu dwie dziewczyny z Krytyki Politycznej, parę gejów, kolegę z zielonych, posłów Ruchu Palikota i posła z PiS. Nikt w nikogo niczym nie rzucał. Wszyscy oprócz mnie i obu gejów skakali, skandując: „Kto nie skacze, ten za ACTA”. Hm. Ja nie posunęłam się do zastosowania tej szczególnej formy wyrażania jedności, choć za ACTA nie jestem.

– Witam, pani Aniu – ktoś dotyka moje go ramienia. Poznaje Jacka. Jest muzykiem. Wybitny klawiszowiec. Kilka lat temu za trudniłam go z zespołem (hm, w zasadzie za trudniłam) do nagrania piosenki do filmu, który produkowałam.

– Co pan tu robi? – spytałam.

– A pani?

Jacek gra teraz jako muzyk sesyjny. Trochę komponuje. Próbował przebić się ze swoim zespołem, ale nie powiodło się. Stworzyli jedną płytę. Sfinansowali ją sami, bo wytwórnia proponowała grosze i nie gwaran-

towała odpowiedniej promocji. Przekonali się jednak, że to także nie była droga do sukcesu. Płyta była – nawet ładnie wydana – ale okazało się, że nie ma szans przebić się z nią do dystrybucji.

– „Nie kupujemy pojedynczych płyt. Zawieramy umowy z wydawcami” – usłyszełam.

– Koniec marzeń czy walczyć? – zapytałam.

– Nagrywam teraz sam dla wytwórni. Da się żyć. Parę stów tygodniowo jest.

– A oni ile z tego mają?

– Niech pani nie żartuje. To relacja jak za Pana Wójta i Plebana. Sama pani wie. Ale to skandal! – powiedział, wskazując ręką na siedzibę unijnej ekspozytury, pod którą wspólnie demonstrowaliśmy. – Spisek. Cichcem się dogadali. Kto za tym stoi? Kto na tym zyska, ja, pani, ci co tu demonstrują?

– No pewnie. Nie damy się! Jutro w Sejmie walimy w „zderzaki” Tuska – palnęłam zbyt butnie. Aż mi się głupio zrobiło. Pewnie pomyślał, że naiwniaczka.

– Pani Aniu. Pani powie. Przecież to chyba jest proste. Jeśli ktoś coś swojego postawi w necie, to powinno być wolno to sobie wiać. Bo stawiając w przestrzeni publicznej – daje. Powinno być wolno cytować – znaczy zamieszczać w serwisach i na stronach. Wszędzie. Ale z podaniem informacji o źródle bądź autorze, twórcy. Jak ktoś nie chce, aby ludzie sobie kopiowali, to niech nie stawia w necie. Nie stawiam lodówki przed domem, gdy nie chcę, żeby ją ktoś zabrał. Ale jeśli ktoś sprzedaje cudze utwory bez zgody lub przedstawia je jako swoje, to kradnie moje pieniądze lub imię. Jeśli umieszczę w necie piosenkę albo jakiś tekst lub artykuł czy coś, to znaczy, że go daję wszystkim do użytku. Tylko żeby powie-dzieli, że to ja skomponowałam i nagrałam. Internet to strefa wolności. Ale jeśli wydam płytę i nie postawię piosenek w necie, to nikomu nie wolno jej tam umieścić bez mojej zgody. Czy nie tak? Niech pani powie.

– No może...? Ale to chyba nie takie proste. Jedno jest pewne. Dogadali się korporacje z rządami bez nas i wyciągają ręce po pieniądze pana i wszystkich tych ludzi tutaj.



# I Adelson stwarza prezydenta



Ma już największe kasyno na świecie, największy hotel i swojego premiera w Izraelu. Teraz chciałby mieć prezydenta USA. Czy Sheldona Adelsona na to stać?

ŁUKASZ WÓJCIK

**K**ongres musi pomóc Palestyńczykom, przynajmniej w takim wymiarze, w jakim pomaga Izraelowi” – pisał w 2005 r. Newt Gingrich.

W grudniu 2011 r. ten sam człowiek w wywiadzie dla izraelskiego radia, a potem w trakcie debaty telewizyjnej republikańskich kandydatów nazwał Palestyńczyków nieistniejącym „wymyślonym narodem”. „Mieliby czas, aby odejść” – mówił Gingrich, lider obecnej batalii o nominację Partii Republikańskiej w wyścigu do Białego Domu.

Jak cenne są własne poglądy? Poczynając od 2006 r. aż do poprzedniego poniedziałku 23 stycznia Gingrich otrzymał w sumie na swoją działalność polityczną 17,7 mln dol. wsparcia od Sheldona Adelsona. Szesnastego

najbogatszego człowieka świata, „najbogatszego” – jak sam o sobie mówi – „Żyda na świecie” i zwolennika radykalnej polityki wobec Palestyńczyków.

Jesienią ubiegłego roku Newta Gingricha opuścił niemal cały sztab wyborczy. Nie stać go było nawet na utrzymanie biura w Iowa i New Hampshire – stanach, które jako pierwsze wybierały republikańskiego kandydata. W obu przypadkach przegrał z kretelem. Wtedy – na dwa tygodnie przed kolejnym głosowaniem w Karolinie Południowej – do akcji wkroczył Adelson. Dzięki jego milionom Gingrich zalał miejscowe telewizje agresywnymi reklamówkami. I wygrał.

Teraz prowadzi w sondażach przed prawyborami na Florydzie, które odbędą się 31 stycznia. Jeśli pieniądze Sheldona Adelsona z przegranego kandydata zrobiły lidera sondaży,

to być może jeszcze więcej jego pieniędzy uczyni z Gingricha prezydenta USA? – Nie jest tajemnicą, że pieniądze od lat kształtują amerykańską politykę – mówi Michael Malen z Centrum Badań nad Finansami Wyborczymi (CFI). – W przypadku Adelsona mamy jednak do czynienia z innym kalibrem. Biorąc pod uwagę ewolucję poglądów Gingricha w stosunku do tak kluczowej sprawy jak konflikt izraelsko-palestyński, okazuje się, że w naszej polityce kupić można wszystko. Być może też prezydenta, a przynajmniej jego poglądy. Pozostaje tylko kwestia ceny.

## Indianie w Wenecji

Adelson sprawdził już siłę swoich pieniędzy w Izraelu, gdzie jest ojcem chrzestnym sukcesu Benjamina Netanjahu. – W demokracji wyborcy mają wolny wybór, ale większość

z nich z łatwością zmienia preferencje wyborcze po obejrzeniu kilku agresywnych spotów – przekonuje Ellen S. Miller z Sunlight Foundation, która zajmuje się edukacją polityczną. – Jeśli stać cię na spoty, stać cię na głosy.

78-letniego Sheldona Adelsona stać na wiele. Magazyn „Forbes” szacuje jego majątek na 21,5 mld dol., a Peter W. Bernstein, autor książki „All the Money in the World”, ocenia, że jest on najszybciej bogacącym się człowiekiem w historii – każdej godziny zarabia ponad milion dolarów. Głównie na hazardzie. Jest założycielem i większościowym właścicielem Las Vegas Sands Corporation, największej na świecie sieci kasyn i ekskluzywnych hoteli. Jego ambicją jest przeskoczenie na liście najbogatszych Warrena Buffeta i Billa Gatesa. Ale ostatnio na całego wciągnęła go polityka, a to kosztowny biznes.

Zaczynał od bójek z Irlandczykami w centrum Bostonu. Jako syn biednego żydowskiego emigranta z Litwy szybko porzucił szkołę i zaczął zarabiać pieniądze, sprzedając gazety przy ruchliwym skrzyżowaniu. A ponieważ irlandzcy sąsiedzi również uważali, że to miejsce doskonale nadaje się na handel prasą, systematycznie dochodziło do wojen o terytorium. W końcu Sheldon zapożyczył się u wujka i dla świętego spokoju opłacił przeciwników.

Zanim dorobił się pierwszych milionów, dwukrotnie zbankrutował. Przełom nastąpił w 1973 r. Adelson założył biznes o nazwie Comdex – jak potem przyznał – „już wtedy czułem, że z tymi komputerami to się uda”, choć do dziś nie potrafi ich obsługiwać. Jego firma urządziła w Las Vegas targi sprzętu komputerowego. Właścicielom hali wystawienniczych płać 25 centów od metra kwadratowego, a podczas targów od prezentujących

się firm komputerowych za te same metry zbierał po 25 dol. Na początku lat 90. sprzedał Comdex za ponad 800 mln dol. I zajął się prawdziwym biznesem.

Za 128 mln dol. kupił rozpadający się hotel Las Vegas Sands, który w latach 50. wielokrotnie gościł „paczkę szczurów”, nieformalną grupę aktorsko-towarzystwą, której przewodzili między innymi Humphrey Bogart i Frank Sinatra. Ku zdumieniu konkurencji Adelson kazał zabytkowy budynek wysadzić w powietrze. Na jego miejscu postawił nowy. Venetian w 1999 r. był szóstym największym hotelem na świecie i reklamował się najdroższymi noclegami w Las Vegas. Jednocześnie stał się kwincesencją lokalnego kiczu – zakochany w Wenecji Adelson kazał w Las Vegas skopiować nie tylko plac św. Marka i Pałac Dożów, ale również kanały i pływające po nich gondolierzy z panami w pasiastych koszulkach, za których robili miejscowi Indianie.

Pomysł na biznes był prosty – w Las Vegas inne hotele przy kasynach były skromnymi przechovalniami, bo właściciele wychodzili z błędnego założenia, że jeśli już ktoś przyjeżdża do miasta, to chce jak najwięcej pieniędzy zainwestować w ruletkę lub blackjacka. Adelson wymyślił perpetuum mobile: jeśli ktoś przegrywał w jego kasynie, on zarabiał. Jeśli ktoś wygrywał, on również zarabiał, bo ludzie przy nagłym dopływie gotówki pozwalali sobie na luksus i wykupywali kolejne noce w jego drogim hotelu. Dziś taki biznesplan to już standard wśród właścicieli kasyn, ale Adelson był pionierem.

Wtedy, w połowie lat 90., poznał Newta Gingricha. Wówczas jeszcze jako adwokat sprawy palestyńskiej Gingrich był charyzmatycznym liderem republikańskiej większości w Izbie Reprezentantów i jednocześnie wielkim

przeciwnikiem związków zawodowych. Adelson przez kilkanaście miesięcy nie mógł skompletować załogi hotelu Venetian, bo miejscowe związki domagały się korzystnej dla siebie umowy zbiorowej. W końcu zwrócił się do Gingricha z prośbą o pomoc. Ten był tak skuteczny, że Venetian do dziś jest jedynym hotelem w Las Vegas bez żadnych związków zawodowych.

Kontakty w Kongresie bardzo szybko przyciągały się Adelsonowi. W 2001 r., dzięki protekcji znajomego chińskiego biznesmena, spotkał się w Pekinie z wysoko postawionym partyjnym dygnitarzem. Według dziennika „The New York Times” wiedział, że komunistom chodzi o kasyna, ale pośrednik odradził mu inicjatywę w tym temacie. – Ile pokoi hotelowych może pan wybudować? – rozpoczął rozmowę Chińczyk. – To zależy, na ile jest zapotrzebowanie – odparł Adelson. – Ile byście chcieli?

Zdezorientowany po pierwszym spotkaniu zaraz później rozmawiał z burmistrzem Pekinu, który żalił mu się, że Izba Reprezentantów chce przyjąć ustawę potępiającą łamanie praw człowieka w Chinach i wzywającą do nieprzyznawania Państwu Środka praw do organizacji igrzysk olimpijskich w 2008 r. Adelson jeszcze przy burmistrzu chwycił za komórkę i zadzwonił wprost do Toma DeLaya, ważnego republikańskiego kongresmena. Ten trzy godziny później oddzwonił i zapewnił, że Izba jednak nie zdąży z tą ustawą przed decyzją o przyznaniu igrzysk. Pekin dostał olimpiadę, a Adelson licencję na prowadzenie kasyna w Makau, dopiero co odzyskanej przez Chińczyków portugalskiej kolonii. W 2004 r. otworzył Sands Macao, największe kasyno na świecie, zbudowane za 265 mln dol., oczywiście na modłę wenecką, z placem św. Marka, kanałami i gondolami, tylko bez Indian. Teraz kończy budować największy na świecie kompleks hotelowo-konferencyjny za 3 mld dol. Z każdego miliona, który co godzinę wpływa mu na konto, około 700 tys. dol. pochodzi z Makau.

## Przez żonę do Izraela

Następnym placem budowy był izraelski port nad Morzem Czerwonym – Ejlat. Adelsona nie ciągnęło do Izraela, dopóki na początku lat 90. nie poszedł na randkę w ciemno. Spotkał na niej swoją drugą żonę Miriam – Izraelkę, która przyjechała do USA na Uniwersytet Rockefellera. Gdy pierwszy raz wyładował w Tel Awiwie, schodząc na płytę lotniska, założył buty ojca, którego nigdy nie było stać na taką podróż. ➔



Jerozolima, rok 2008. Siedzą od lewej: ówczesny premier Izraela Ehud Olmert, Laura i George W. Bush, prezydent Izraela Szymon Peres i Sheldon Adelson



→ Kolejne wyjazdy do tego kraju przewarściowały jego poglądy polityczne. Cała jego rodzina, jak większość Żydów ze wschodniego wybrzeża USA, jest mało religijna, lewicowa i głosuje na demokratów. Sheldon Adelson z krewnymi już ponoć nie rozmawia o polityce. Stał się bardzo konserwatywny. Baracka Obamę nazywa socjalistą i uważa, że Izrael powinien siłą wypchnąć Palestyńczyków z Judei i Samarii, jak izraelska prawica nazywa Zachodni Brzeg Jordanu.

Już w połowie lat 90. blisko zaprzyjaźnił się ze wschodzącą gwiazdą tamtejszej prawicy Benjaminem Netanjahu. Gdy ten wygrał w 1996 r. wybory i został premierem, Adelson po raz pierwszy poczuł siłę swoich pieniędzy. Wielu izraelskich komentatorów uważa, że te niecałe 30 tys. głosów przewagi Netanjahu nad Szymonem Peresem to była w dużym stopniu zasługa dwóch miliardów żydowskiego pochodzenia: Australijczyka Josepha Gutnicka i właśnie Adelsona, którzy w ostatnim momencie wsparli kampanię Netanjahu.

Adelson zaangażował się w działalność społeczną w Izraelu. Do dziś jest największym jednorazowym mecenasem instytutu Yad Vashem (25 mln dol.). Ponad 100 mln przekazał organizacji Brightlight Israel, finansującej młodym Żydom z całego świata wycieczki do ojczyzny. Dzięki swojej żonie, która przez lata pomagała uzależnionym od narkotyków, wspiera również klinikę dla narkomanów. Jego priorytetem jednak zawsze było radykalnie pojmowane bezpieczeństwo Izraela. Gdy w 2006 r. Ariel Szaron zapadł w śpiączkę, premierem został inny przyjaciel Adelsona – Ehud Olmert. Przyjaźń jednak szybko się skończyła, gdy nowy szef rządu podjął rozmowy z prezydentem Autonomii Palestyńskiej



Małżeństwo Adelsonów wraz z trzema synami podczas zakończenia pierwszego etapu budowy kompleksu rozrywkowego Marina Bay Sands w Singapurze

Mahmudem Abbasem w sprawie utworzenia państwa palestyńskiego.

Adelson zaatakował Olmerta wszystkimi dostępnymi środkami. Organizacje przez niego finansowane wykupywały płatne ogłoszenia w izraelskiej i amerykańskiej prasie, które przywoływały słowa miliardera, że „utworzenie państwa palestyńskiego będzie początkiem nowego Holocaustu, ostatecznej destrukcji Izraela i narodu żydowskiego”.

Sam Adelson osobiście spotkał się z przywódcami partii wspierających rząd Olmerta i przekonywał ich, aby zerwali koalicję rządową. Na kilka dni przed konferencją w amerykańskim Annapolis, gdzie miały zapasć ostateczne decyzje, spotkał się nawet z patronem

tego spotkania George'em W. Bushem. W długim dziennikarce „The New Yorker” Connie Bruck amerykański prezydent miał po spotkaniu powiedzieć swemu doradcy: „Ten szalony Żyd znów na mnie nakrzyczył”.

### Sterroryzowane państwo

Konferencja w Annapolis zakończyła się porażką Olmerta, ale Adelson mu nie odpuszczył i za wszelką cenę próbował przywrócić do władzy Netanjahu. Ta cena wyniosła około 200 mln dol., czyli tyle, ile wyłożył na budowę najpotężniejszego dziś dziennika w państwie żydowskim „Israel Hayom”. To bezpłatne pismo, rozdawane przez umundurowanych gazeciarzy, jest izraelską wersją „Gazety Polskiej Codziennie”: duże zdjęcia, sensacyjne materiały i ani jednego złego słowa o Benjaminie Netanjahu, który jako jedyny sprawca długi miał odzyskać kraj z rąk zdrajców. Do tego pismo szybko zyskało miano „Bibi-tonu” (Bibi to zdrobnienie od Benjamina).

W 2009 r. Olmert w końcu ustąpił ze stanowiska, choć nie przez Adelsona, ale z powodu poważnych oskarżeń korupcyjnych pod jego adresem. Premierem ponownie został Netanjahu i wszelkie rozmowy pokojowe z Palestyńczykami zostały wstrzymane. Adelson triumfował.

„Jego obecne wpływy w Izraelu są nie do przecenienia” – przekonywał w grudniu na portalu Siódme Oko nestor izraelskiego dziennikarstwa Nahum Barnea. „Wróciliśmy do czasów, kiedy cały Izrael był w portfelu rodziny Rothschildów. Z tą różnicą, że teraz mamy

do czynienia z jedną osobą”. Inny znany izraelski komentator i naukowiec Bernard Avishai twierdzi wręcz, że „izraelska inteligencja jest dziś zniewolona przez Adelsona”. Według Avishaia moc oddziaływania jego gazety sprawia, że nikt już nie słucha starych autorytetów: „To jest swego rodzaju ideologiczny terror. Albo jesteś z nami i popierasz ekspansję osiedli w Samarii i Judei, albo opowiadasz się za powstaniem państwa palestyńskiego i jesteś zdrajcą. Nie ma trzeciego wyjścia”.

Izraelski pisarz Amos Oz pisze z kolei o nowym, obcym mu Izraelu, który tworzą dziś ludzie pokroju Adelsona. W 2011 r. przekonywał w „Przekroju”, że to państwo stało się zasadnikiem rosnącej rzeszy ultraortodoksyjnych Żydów i osadników. Poparcie obu tych grup, hojnie sponsorowanych przez zagranicznych mecenasów, w tym samego Adelsona, jest premierowi Netanjahu niezbędne do utrzymania koalicji rządowej.

Efekty uboczne takiego układu są niepokojące – wpływy ortodoksów wychodzą już dziś daleko poza politykę. W niektórych dzielnicach Tel Awiwu Izraelki, tak jak Saudyjki, nie prowadzą samochodów, a na uroczystościach organizowanych przez Ministerstwo Kultury kobiety i mężczyźni siedzą osobno. Lewicujący dziennik „Haaretz” pisze wręcz o „sterroryzowanym państwie”.

### Pieniądz jak słowo

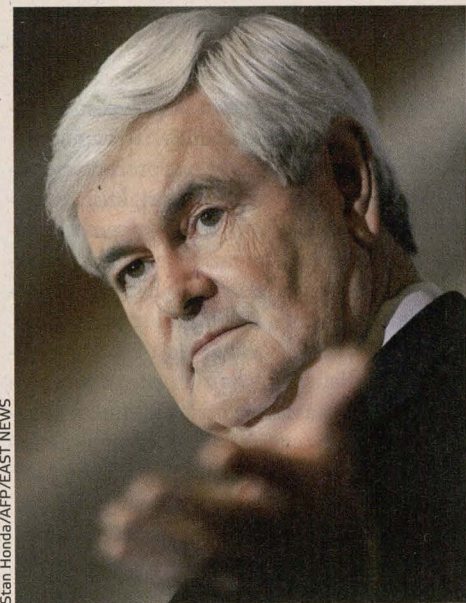
Czy pieniądze miliardera mogą w podobny sposób sterroryzować Amerykę? Jeśli chodzi o politykę wobec Izraela, to już doprawdy niewiele da się „poprawić”. Wyścig o republikańską nominację przerodził się w licytację pod tytułem „Kto więcej obieca Tel Awiwowi/Adelsonowi?”. Kandydat Mitt Romney zapowiedział już, że jako prezydent w pierwszą wizytę zagraniczną uda się do Izraela. Rick Santorum,

zwycięzca prawyborów w Iowa, zadeklarował, że militarnie wesprze izraelski atak na Iran. Ale i tak wszystkich przebił pod tym względem Newt Gingrich. Obiecał, że jego pierwszą prezydencką decyzją będą przenosiny amerykańskiej ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy. Drugą – ułaskawienie Jonathana Pollarda, izraelskiego szpiega, którego amerykański sąd w 1987 r. skazał na dożywocie.

„W takim razie trzecią decyzją prezydenta Gingricha powinno być uczynienie z Ameryki izraelskiej kolonii i mianowanie Adelsona jej dożywotnim gubernatorem” – ironizuje na blogu John Mearsheimer, współautor bestsellera „The Israel Lobby and U.S. Foreign Policy” („Izraelskie lobby i polityka zagraniczna USA”). „Kandydaci jakby zapomnieli, którego państwa głową chcą zostać”.

W konkursie na razie prowadzi Gingrich, choć aby zdobyć pieniądze na kampanię wyborczą, musiał zmienić swoje poglądy na temat Palestyńczyków niemal o 180 stopni. Amerykanie po części sami winni są takiej sytuacji. Ubiegłoroczny wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Citizens United w praktyce zdjął wszelkie ograniczenia w wysokości datków na rzecz polityków. Wciąż obowiązuje zasada, że pomoc na rzecz kampanii jednego z kandydatów nie może przekroczyć 2,5 tys. dol. w przypadkach osób indywidualnych i 5 tys. od firm. Sąd jednak stwierdził, że takim ograniczeniom nie podlegają tzw. komitety akcji politycznych (angielski skrót – PAC), których działania nie są koordynowane z komitetami wyborczymi, bo byłoby to równoznaczne z ograniczeniem wolności słowa.

Właśnie na konto takiego PAC popierającego Gingricha trafiły miliony Adelsona. I mają trafić kolejne, jeśli 31 stycznia wygra on prawybor na Florydzie. Tydzień temu dziennikarz telewizji NBC Ted Koppel zapytał Gingricha:



Newt Gingrich zawdzięcza Adelsonowi ponad 80 proc. funduszy na kampanię prezydencką

„Więc jeśli wygrasz, co z tego będzie miał Adelson?”. „On wie, że jestem bardzo proizraelski. To mu wystarczy” – odrzekł polityk.

Czy aby na pewno? Nigdy jeszcze w historii Ameryki los jednego kandydata nie zależał w takim stopniu od jednego darczyńcy. Miliony właścicieli kasyn w ciągu zaledwie kilku dni wywróciły do góry nogami krajobraz amerykańskiej kampanii wyborczej, tak jak kiedyś odmieniły krajobraz Las Vegas, Makau i Tel Awiwu. Hoteli i kasyn Adelson jak dotąd nie stawiał charytatywnie. Politykę traktuje jak grę na giełdzie: inwestuje w kandydata, a jeśli ten wygra, oczekuje dywidendy. W takich warunkach przeciętni wyborcy muszą zadowolić się rolą giełdowego planktonu – mogą inwestować, ale ich wybory nie mają już większego wpływu na rzeczywistość.



Premier Ehud Olmert (z prawej) dziękuje Sheldonowi i Miriam Adelsonom za wsparcie Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem rekordową kwotą 25 mln dol.

### REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaz 1 % podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja  
Warszawskie  
Hospicjum dla Dzieci

Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl





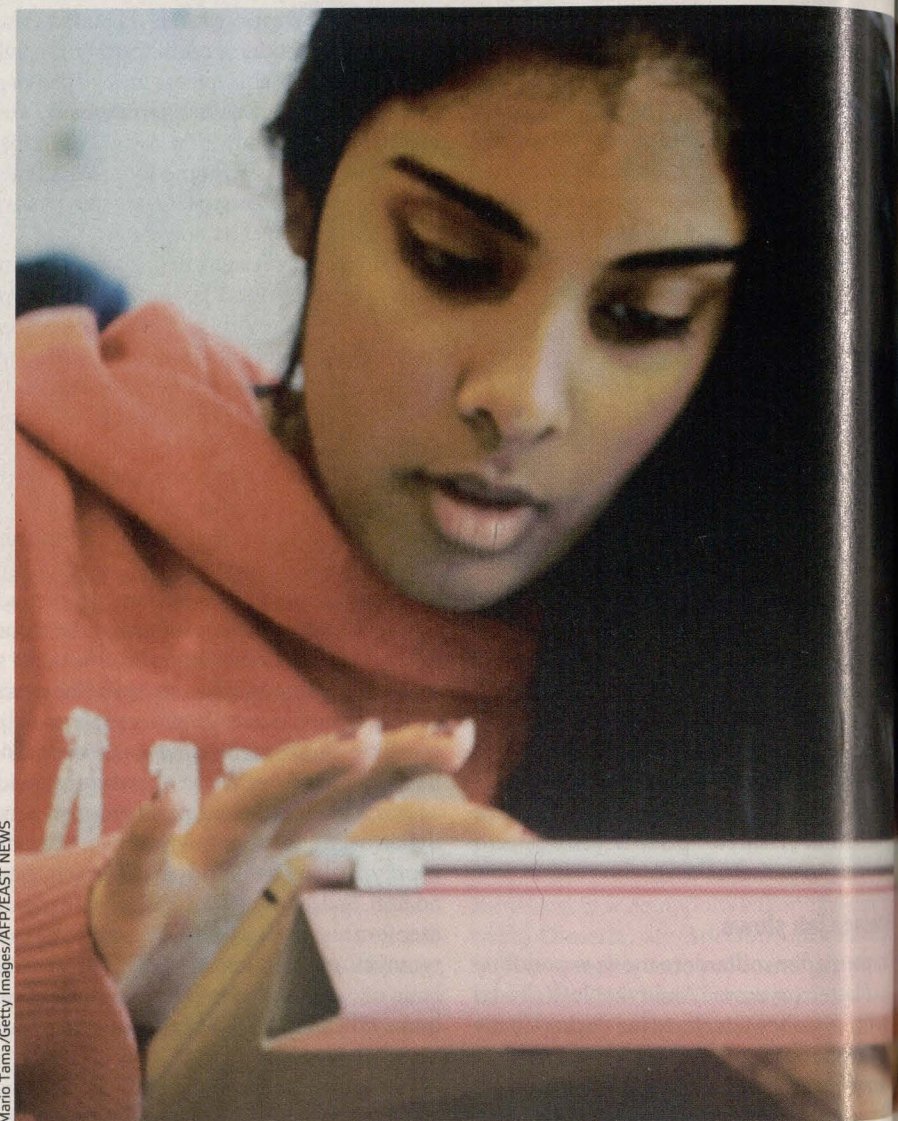
OLAF SZEWCZYK

**P**oświęcone sztuce współczesnej Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku to świetne miejsce na prezentację nowych produktów Apple – firmy, która zasłynęła dzięki wysmakowanemu, nowoczesnemu wzornictwu. Tym razem jednak wynalazcy z Cupertino nie przedstawili świata nowego elektronicznego cacka, które uwodzi prezencją, ale idee i służące jej oprogramowanie. Może dlatego media zwróciły na to wydarzenie mniejszą uwagę niż na premiery kolejnych iPhone'ów czy iPadów. Niesłusznie. Przewrót w szkolnej edukacji, który zainicjował w tym miesiącu Apple, prezentując programy iBooks 2 i iBooks Author, może mieć dla nas jeszcze większe znaczenie niż popularyzacja smartfonu i tabletu. Na dobre i na złe.

### Stwórz własny podręcznik

Papierowe podręczniki służą nam od zarania szkolnictwa. Czy jednak w XXI w. są nadal optymalnym narzędziem edukacyjnym? Czy uczniowi, który przywykł do efektownych audiowizualnych przekazów w Internecie, wystarczą zwykły rysunek, schemat czy zdjęcie wydrukowane na stronicy książki? I czy wystarczać musi? Poza tym czy warto wycinać w pień kolejne lasy i kazać dziecku dźwigać w tornistrze kilogramy martwych drzew, skoro można dziś zapisać oceany wiedzy w małym płatku krzemu?

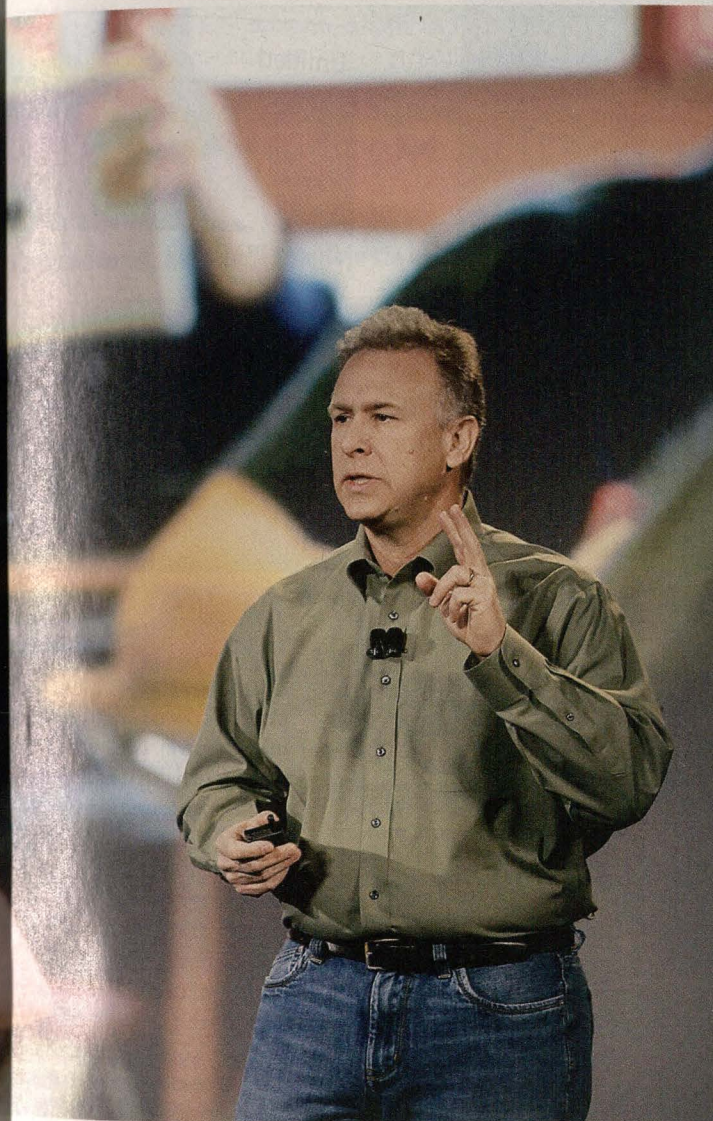
Idea elektronicznego podręcznika nie jest nowa. Rzecz w tym, że to, o czym wszyscy mówią od lat, zastanawiając się, jak owemu wyzwaniu podołać, Apple – nie oglądając się na nikogo – skutecznie wcieliło w życie. Głównym bohaterem prezentacji była aplikacja iBooks 2, zapewniająca właścicielom iPadów dostęp do cyfrowych podręczników, a ich twórcom – wygodną dystrybucję. Tak jak w przypadku innych swoich sklepów Apple pobiera 30-procentową marżę za pośrednictwo w sprzedaży produktu. Za darmo udostępnia natomiast nie tylko iBooks 2, ale i program iBooks Author, pozwalający samemu przygotować książkę edukacyjną. Nie trzeba do tego wiedzy programistycznej, przepis na cyfrowy podręcznik jest – jak zapewnia Apple – banalnie prosty. Chcemy umaić słowo pisane multimediami? Wystarczy przeciągnąć ramkę z filmem lub trójwymiarowym obiektem na stronę, tak jak ilustrację, tekst automatycznie ją obleje. Nie trzeba wklepywać linijek kodu, wiele można zrobić intuicyjnie, natychmiast weryfikując efekt. Choć



Mario Tama/Getty Images/AFP/EAST NEWS

# Szkoła 2.0

**Czy papierowe podręczniki to przeżytek? Apple uważa, że najwyższy czas na materiały dydaktyczne w formie elektronicznej, i proponuje własne rozwiązanie: na iPada. Być może rzeczywiście to rewolucja w edukacji. Niestety, rozpoczął ją zamach**



– Apple wymyśliło podręcznik na nowo  
– przekonuje Philip Schiller, mistrz ceremonii nowojorskiego pokazu 19 stycznia

jeśli ktoś potrafi i chce, może głębiej ingerować w kod, dopisując żądane treści w językach HTML 5 lub JavaScript.

Dzięki możliwościom iBooks Author nauczyciel sam może przygotować dla uczniów taki podręcznik, który według niego najskuteczniej pomoże mu wbić do ich łbów to, co najważniejsze. Oprogramowanie pozwala ponadto na łatwe umieszczanie w podręcznikach interaktywnych testów, dzięki czemu uczeń może sam sprawdzać, czy przyswoił materiał w wystarczającym stopniu. Znaczące, że nawet amator w dziedzinie wydawania książek, jeśli tylko dysponuje wystarczającą wiedzą na temat, o którym chce nauczać, ma szansę stworzyć elektroniczny podręcznik bardziej atrakcyjny i funkcjonalny niż jego papierowy odpowiednik. A to, co potrafią przygotować

zawodowcy, robi naprawdę imponujące wrażenie. Można się o tym przekonać, testując już gotowe tytuły dostępne w iBooks 2.

### Więcej, ładniej, skuteczniej

Na ekranie iPada lekcja astronomii, na pozór niewiele różniąca się od strony w klasycznym podręczniku: gdzieś z boku zdjęcie planety, które oblewa tekst. Wystarczy jednak intuicyjny ruch dwóch palców, by powiększyć obrazek na cały ekran. Oto Mars w pełnej okazałości, którego w dodatku możemy obejrzeć z każdej strony, obracając glob wokół dowolnej osi. Obok wyświetlają się kusząco skróty do kolejnych ciał niebieskich. Jeden gest i możemy podziwiać cały Układ Słoneczny, śledząc ruchy planet i księżyców. Wszystko jak na dłoni. Zgodnie z mądrą maksymą, że

czasem jeden obraz może powiedzieć więcej niż tysiąc słów.

W podręczniku do biologii wzmianka o szympanсах? Obejrzyjmy dokument o ich zwyczajach nakręcony w naturalnym środowisku dżungli. Albo zrobmy sekcję żaby, krok po kroku przypinając łapki pinezkami, rysując linie, którymi poprowadzimy skalpel, nacinając skórę, odsłaniając wnętrzności – tak naturalistycznie, jakbyśmy robili to w szkolnym laboratorium, choć wszystko dzieje się tylko na ekranie (żaby powinny być za to wdzięczne).

Lekcja chemii o właściwościach gazów? Na rysunku cylinder z tłokiem – jak w tradycyjnej książce – który jednak, już zupełnie nie jak na papierze, zaczyna się ruszać, sprężając powietrze. Poznając historię, czytamy o słynnym wojennym przemówieniu Churchilla? Posłuchajmy go także z załączonego nagrania – lepiej zapisze się w pamięci. Czyż nie tak powinny wyglądać wszystkie lekcje?

Elektroniczne materiały edukacyjne według Apple to jednak nie tylko wzbogacanie tekstu o pokaźne galerie ilustracji, animacji komputerowych, filmów, nagrań audio, a nawet elementów interaktywnych, pozwalających uczniowi przekonać się samemu, co nastąpi, gdy popęni to czy tamto (odetchnijcie z ulgą rodzice małego chemika!). To także szansa na robienie notatek na marginesach. Na podkreślenie ważnych ustępów. Na łatwe wyszukiwanie w książce żądanych pojęć. Na prostą, klarowną nawigację pomiędzy poszczególnymi sekcjami książki. Na błyskawiczne sprawdzenie we wbudowanym słowniku, co oznacza owo trudne słowo, którego nie rozumiemy.

Apple, oddajmy sprawiedliwość, zrobiło to tak, jak być zrobione powinno. A jednak jest się czym niepokoić.

### Wszystkie dzieci należą do Apple?

Podczas prezentacji w Muzeum Guggenheima szef marketingu koncernu Philip Schiller powiedział, że „Apple edukację ma w DNA”. Nie łudźmy się jednak, że firma z Cupertino podjęła tę inicjatywę z troski o nie najlepszy stan szkolnictwa. Chodzi o gigantyczny biznes – o faktyczne zmonopolizowanie rynku elektronicznych podręczników szkolnych i akademickich, a przy okazji o znaczące zwiększenie popytu na iPady. Haczyk polega na tym, że publikacja e-podręcznika za pośrednictwem iBooks Author wiąże się ze zgodą na wyłączne prawo Apple do sprzedawania danego tytułu. Nie masz iPada za co najmniej 500 dol., dziecko? Tylko jakiegoś Kindle →



→ Fire za dwiestówy lub zwykłego e-readera za stówę? Albo nawet – fuji! – staromodnego notebooka? Przykro nam, ale jeśli chcesz uczyć się z cyfrowych podręczników, tak jak reszta klasy, twoi rodzice muszą się szarpnąć na iPada.

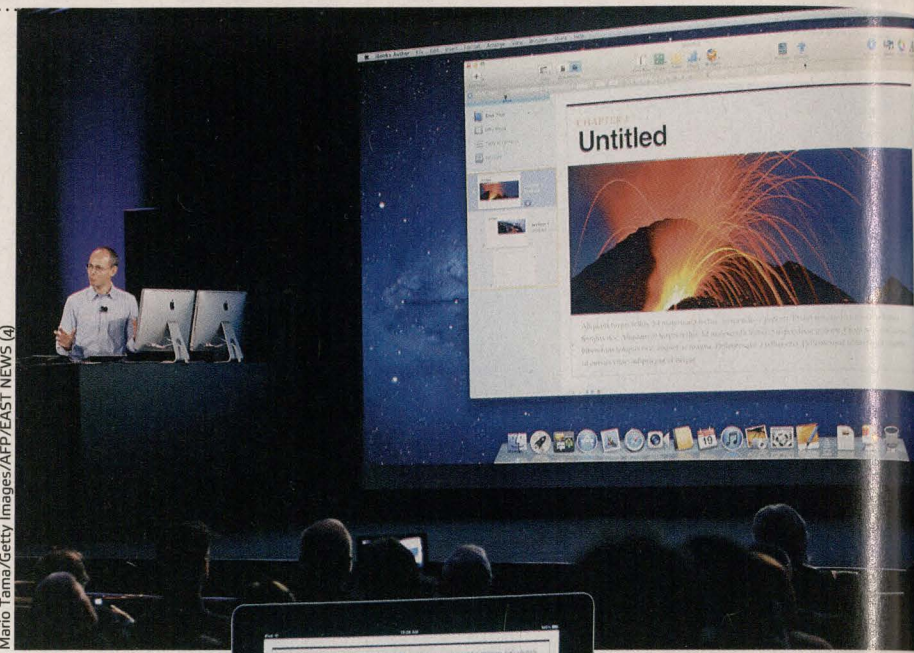
Owszem, pociechą jest deklaracja Apple, że cena poszczególnych tytułów nie powinna przekraczać 14,99 dol. (papierowe podręczniki bywają wielokrotnie droższe). Monopolistyczne zapędy firmy z Cupertino budzą jednak u wielu zrozumiały lęk.

Sytuacja wygląda nieciekawie, bo Apple już jest po słowie z trójką największych wydawców podręczników w USA, kontrolujących 90 proc. branży: Pearson PLC, McGraw-Hill Companies, Inc. i Houghton Mifflin Harcourt. Jeśli konkurenci lub organizacje społeczne nie wymuszają w tej sprawie interwencji Sekcji Antymonopolowej Departamentu Sprawiedliwości lub Federalnej Komisji Handlu, firma niepodzielnie będzie ustalać zasady gry na rynku cyfrowych podręczników (które prawdopodobnie szybko zepchną pocziwe papierowe książki do niszy).

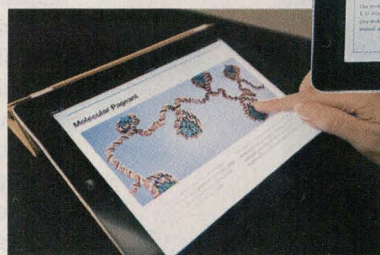
Coroczne żniwa przy 30-procentowej marży od sprzedaży i gigantycznym rynku zbytu to kopalnia złota bez dna, ale i zapowiedź trudnych czasów dla licznej konkurencji. Ciężko też będzie rywalizować z Apple w USA innym producentem tabletów. Schiller chwalił się co prawda liczbą aż 1,5 mln iPadów już wykorzystywanych przez uczniów i studentów, ale nie dodał, że to zaledwie kropla w morzu, bo w szkolnych ławach zasiada łącznie 57 mln Amerykanów w wieku do 19 lat. Biorąc pod uwagę, że niemal każdy z nich ma dostęp do komputera, a zaledwie mały procent do tabletów Apple, trudno uwierzyć, aby to właśnie iPad był naturalnym standardem jutra. Być może stanie się standardem, ale wymuszonym.

## E-dukacja po polsku

Miejmy nadzieję, że Europa wypracuje własne rozwiązania, zapewniające dostęp do edukacji także tym, których nie stać na kosztowne tablety jedynie słusznej marki. W Polsce, dzień po wydarzeniu w Muzeum Gugenheima, rząd przedstawił do konsultacji szczegóły programu pilotażowego „Cyfrowa szkoła”, który wystartuje w marcu. 50 mln zł na zakup sprzętu komputerowego ma trafić



Powyżej: prezentacja możliwości programu iBooks Author



Dostępne w iBooks 2 interaktywne podręczniki kuszą możliwościami, których papier nie zapewni

do wybranych szkół. 500 tys. – czyli aż stokrotnie mniej – MEI przeznacza na przygotowanie programów edukacyjnych w formie cyfrowej. Niestety wciąż nie wiemy, na jakich zasadach będą udostępniane uczniom. Nie wiemy też, czy będą tworzone według ujednoliconych standardów i czy proponują podobne możliwości co podręczniki z oferty Apple.

– Niepokoi nas brak gwarancji w zapisach, że opłacone przez podatników podręczniki będą dostępne na zasadzie wolnej cencji – mówi „Przekroju” Jędrzej Lipszyc z fundacji Nowoczesna Polska i Koalicji Otwartej Edukacji. – Niedopuszczalne

byłaby też sytuacja, w której urząd, łamiąc zasadę neutralności, uzależniłby edukację od jednego dostawcy. Nie chcemy, by jakkolwiek producent monopolizował rynek tak jak to robi obecnie Apple w USA – co jest skandalem. Podręczniki powinny być dostępne na każdym komputerze, tablecie czy e-readerze.

Po przeprowadzeniu w tym roku programu pilotażowego akcja „Cyfrowa szkoła” ma ruszyć pełną parą w roku 2013. Jest jeszcze czas, aby wyciągnąć wnioski z tego co dobre, a co złe w inicjatywach pionierów edukacji epoki cyfrowej, wypracować dobre dla polskich uczniów i studentów rozwiązania. Na prowizorkę i błędy zwyczajnie nie stać.

## TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA

### 1. Skąd wiadomo, ile kalorii znajduje się w jakimś jedzeniu?



Na początek drobne wyjaśnienie. Pojęcie „kaloria”, którego używamy, mówiąc o produktach spożywczych, zazwyczaj nie jest zgodne z oficjalną definicją kalorii. Jej – stara już co prawda – ale najbardziej obrazowa wersja brzmi: „Ilość ciepła potrzebna do podgrzania, pod ciśnieniem 1 atmosfery, 1 g czystej wody o 1 °C od temperatury 14,5 °C do 15,5 °C”. Tymczasem to, czego używamy przy okazji chlebsów, piwa i tortu czekoladowego, to kilokaloria, a więc tysiąc kalorii. A teraz do rzeczy. Podstawowym badaniem pozwalającym określić wartość energetyczną produktu jest spalanie go w kalorymtrze. To przyrząd mierzący ilość ciepła wydzielającego się podczas zachodzenia jakiegoś procesu chemicznego. W naszym przypadku przydatna jest jego szczególna odmiana – bomba

kalorymetryczna. To szczelne stalowe naczynie o grubych ściankach, gdzie produkt jest spalany w gwałtownym procesie inicjowanym iskrą. Następnie mierzy się ilość ciepła wydzielanego podczas tego spalania i na tej podstawie określa, ile energii zawierała na przykład próbka tortu czekoladowego. To jednak nie koniec. Całkowita wartość energetyczna produktu różni się od tego, co zdoła przyswoić nasz organizm – część tortu nie wchłonie się i zostanie wydalona, nie cały tłuszcz czy cukier zamienia się w energię. Dlatego kolejnym etapem jest zbadanie składu próbek i określenie, ile zawierają tłuszczu, białek, cukrów i innych składników. Wiemy, jak metabolizowane są te elementy, i zestawiając je ze sobą, możemy dopiero stwierdzić, ile faktycznie kilokalorii uzyska nasz organizm.

### 2. Dlaczego w sztucznym świetle latarni kolory wyglądają tak dziwnie?

Jak to się w ogóle dzieje, że widzimy kolory? Weźmy na przykład ogórek. To, że jest zielony, wynika z właściwości jego powierzchni, pochłaniającej wszystkie kolory poza zielonym, który odbija. Odbity trafia do naszych oczu i tu jest rejestrowany przez siatkówkę. Tymczasem latarnie, które tak „niszcza” kolory, to najczęściej lampy sodowe. Mają one tę szczególną cechę, że emitują światło o jednej tylko długości fali – dokładnie 589,3 nm. To ten paskudny pomarańczowy, który tak dobrze znamy z ulic. Co dzieje

się z innymi kolorami w tym świetle? Znowu sięgamy po ogórek. Przypomina – pochłania on wszystkie długości fali poza zieloną. Pochłania więc też sodowy pomarańczowy. A do naszych oczu nie trafia nic (no, prawie nic). Zatem nasza siatkówka przesyła do mózgu sygnał „brak koloru”, czyli czerni. Podobnie dzieje się ze wszystkimi pozostałymi kolorami. Pomarańczowe światło odbijają tylko obiekty pomarańczowe i białe, pozostałe zobaczymy jako czarne lub szare.

### 3. Czy światło wpuszczone do zamkniętego, lustrzanego pudełka będzie się tam odbijać w nieskończoność?

Teoretycznie – tak. Praktycznie – nie. Dość szybko zostanie wytłumione, z kilku przyczyn. Po pierwsze typowe lustro odbija tylko jakieś 80 proc. padającego na nie światła, a najlepsze, jakimi dysponujemy – 99 proc. Niby to dużo, ale światło porusza się tak szybko, że w ułamku sekundy zostanie wytłumione. Kolejny problem to środowisko między lustrami. W powietrzu światło rozprasza się dość szybko, a doskonałe próżni uzyskać nie zdołamy. Mamy więc kolejny powód wygaszania promieni. I wreszcie budowa pudełka.



Którędyś musimy światło wpuścić bądź je wewnątrz wytworzyć. Takie „wejście” czy lampa same będą pochłaniać promienie.



## Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;  
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

MAŁEK RACZKOWSKI







W ruiny Warszawy wraca życie (1945 r.)

## Podwójne życie Zofii

Fotografowała arystokratyczne polowania, nocną Warszawę i swoją rodzinę. Te zdjęcia trafiały do szuflady. Zarabiała jako rządowa propagandzistka. Dopiero całość archiwum odkrywa wyjątkowość Zofii Chomętowskiej

JACEK TOMCZUK

**N**ie była wybitną fotografką. Inni mieli lepsze oko, więcej ciekawości, zamiłowania do ryzyka, wyczucia chwili. Mimo że niemal nie rozstawała się z aparatem przez 70 lat, nie miała wyrazistego pomysłu na to, co robiła. Olbrzymia część spuścizny Zofii Chomętowskiej to zapis codziennego pstrykania, kolejnych zleceń, zaczętych pomysłów i porzuconych planów. Ale to, co zostawiła, to imponujący obraz czasów, w których żyła. – Wyjątkowość jej archiwum polega na totalności. Jest tam niemal wszystko: sceny

rodzinne, wnętrza domów, plenery, przedwojenna moda, architektura miasteczek i nuda kresowego majątku. Reportaż z ucieczki z Polesia we wrześniu 1939 r. i powojenna droga na emigrację. A wszystko to uchwycone przez pryzmat jednej osoby – mówi Jakub Śwircz, kurator fotografii, współautor książki Chomętowskiej „Amerykanka”.

Przez lata pełniła dwie role: prywatnej kronikarki rodzinnego życia i rządowej propagandystki, najpierw sanacyjnej Rzeczypospolitej, potem przez chwilę władz komunistycznych.

Pewnie dlatego jej zdjęcia trafiają w czuły punkt współczesnej kultury: zamiłowanie do odkrywania prywatności i kreacji wizerunku. – Dziś, w epoce nadmiaru zdjęć, nie potrzebujemy nowych, mamy za to głód wyrazistych fotografów. Najlepiej tych z przeszłości, którzy dadzą klucz do innego świata. Stąd powrót Tadeusza Rolkego, kiedyś zawodowo dziś bezcennego kronikarza mody, wydawcy z lat 60. To, co zostawiła Chomętowska, jest również współczesne w swoim eklektyzmie – uważa fotograf Kuba Dąbrowski.

Dzisiaj trwa wielkie przeszukiwanie archiwum Chomętowskiej. Kuratorzy wykroili już z niego trzy książki: „Polesie”, poświęcone ruinom Warszawy „Kronikarki” i „Amerykanka” o podróżach fotografki po Polsce. A w planach są już następne.

### Nie zbaczać z trasy

Rybak płynący po rozlewisku. Dziób łodzi wbijający się w kaczęce. Trzciny o zachodzie słońca. Obrazy Polesia to jej najsłynniejsze przedwojenne zdjęcia. Wszystkie sfotografowane w dalekich planach, często pod słońce. Brakuje szczegółów, jest za to romantycznie, malarsko, dziko. Chomętowska spędza czas we własnym majątku i okolicznych: Porochówku, Bogdanówce, Horodyszczach, Dobrosławce. Rodzi dzieci – Piotra i Gabriellę. Kiedy na przełomie lat 20. i 30. wysyła zdjęcia na konkursy, fotografie przedstawiają oczywiście rodzinne strony. I wygrywa.

Doskonale wpasowała się w ówczesną ideologię państwa: Polesie to romantyczna kraina, niemal nietknięta ludzką stopą; kto nie zna Polesia, ten nie zna Polski. Prawda była taka, że panowała tam bieda, zacołanie, tego wszystkiego nie ma na oficjalnych zdjęciach Chomętowskiej – opowiada Karolina Puchała-Rojek z fundacji Archeologia Fotografii, redaktorka albumu „Polesie”.

W tym samym czasie niemal nie rozstaje się z poręczną leicą. Powstają tysiące zdjęć prywatnych: polowania, spacer, portrety chłopów, praczek, dzieci. Chomętowska nigdy ich nie pokazała. – Starła się znaleźć swoje miejsce w świecie fotografii artystycznej, a realistyczne obrazy biedy nie mieściły się w konwencji. Zastanawia jednak, dlaczego niemal do końca lat 30. na kolejnych wystawach pokazywała w kółko te same zdjęcia. Tak jakby stała się zakładniczką swego wizerunku – opowiada Puchała-Rojek.

– Co, kobieta? Przecież pani nie podoła takiej pracy – usłyszy, kiedy dojdzie w 1936 r. do ogłoszenia wyników konkursu na fotografię Ministerstwa Komunikacji. Rzeczywiście, zadanie nie było łatwe: urzędnicy potrzebowali osoby do objeżdżania Polski i dokumentowania osiągnięć swego resortu. Ciągłe w trasie, hotelach: nowe drogi, dworce, miasteczka, do których można dojechać samochodem, uzdrowiska, do których wczasowiczów

dowiozą nowe linie kolejowe. Czy Chomętowska zdawała sobie sprawę, że stała się, jakbyśmy dziś powiedzieli, rządowym PR-owcem, że wzięła się za propagandę? Ale też nie miała wyboru: w połowie lat 30. rozwiodła się z mężem, straciła część majątku (prawdopodobnie poszedł za długi mąż), musiała z czegoś się utrzymać. Nowe zlecenie oznaczało zatem stałą pensję, samochód, szofera. Chomętowska objeżdża setki miasteczek, ale zestaw zdjęć z każdego jest niemal identyczny, tak jakby miała instrukcję i „odhaczała” ko-



Poleskie rozlewisko, polowanie – ulubione tematy fotografki (lata 30.)

wodowe wykonanie. Pytanie, czy te podróże wykorzystywała do robienia też innych rzeczy, czy zbaczała z trasy. Ten materiał dopiero zaczynamy opracowywać, jednak wiele wskazuje na to, że nie – mówi Puchała-Rojek.

Dla siebie fotografuje Warszawę. Zabiera aparat wszędzie: do własnej łazienki (mężczyzna kąpiący się w pięknej nowoczesnej wannie!), na basen, na eleganckie garden party, do restauracji. Właściwie robi to, co większość z nas dziś: nieustannie pstryka. Tworzy jedyną w swoim rodzaju kronikę życia nocnego stolicy: Ziemiańska, Colombyńska, Bahuś, roześmiana para wjeżdża do baru na wrotkach, dwie kobiety czekają na kolejkę przy pustym barze.

Oczywiście, naturalnym środowiskiem jest warszawska arystokracja, tylko można się domyślać jej stosunku do Chomętowskiej, prowincjuszki spod Pińska, rozwódki, na dodatek żyjącej z fotografowania. Przynależność klasowa jest chyba silniejsza od uprzedzeń, bo bywa w najlepszych domach stolicy. Mało tego, zaczyna je fotografować. Nie wiadomo, czy w przeczuciu końca tego świata, czy z ciekawości. Pałacowe biblioteki, gabinety, bawialnie, hole na jej zdjęciach są martwe, puste, bez śladu współczesności i przede wszystkim bez ludzi. Tak jakby urodzona w 1902 r. na Polesiu Chomętowska, jako jedyna córka Bronisławy z Buchowieckich i Feliksa Druckiego-Lubeckiego, czuła, że nie wypada wyciągnąć aparatu przy Koniecpolskich, Kronenbergach czy Radziwiłłach. – Z nadzieją w jej życiu szukałam świadomej postawy feministycznej, ale raczej bezskutecznie. Owszem, była dyrektorem artystycznym magazynu „Kobieta w pracy”. Ale kiedy dotarłam do niego, okazało się, że pismo nie miało nic wspólnego z ru-

chem emancypacyjnym. Raczej wpisywało kobiety w nurt patriotyczny, radziło, jak mogą się przydać ojczyźnie, jak zakładać maskę przeciwgazową czy zorganizować zbiórkę biżuterii na fundusz armii. Również jej życie nie jest jednoznaczne. Z jednej strony wzięła je w swoje ręce, z drugiej nie miała w sobie nic z rewolucjonistki – mówi Puchała-Rojek.

Kiedy w 1936 r. Stefan Starzyński zostaje komisarzem prezydentem stolicy, urządowanie rozpoczyna od rozbudowy ratuszowego biura prasowego, prasa okrzykuje go ministrem propagandy. Prezydent obiecuje →





Przyjęcie w ogrodzie, jakich wiele, a jednak Chomętowska musi je mieć (Warszawa, przed 1939 r.)



Powojenne wakacje w Sopocie. Wszyscy chcą trochę odpocząć

→ warszawiakom miasto nowoczesne. Chce zmienić wizerunek stolicy i potrzebuje swych kronikarzy. Na przyjęciu u Marii Krasieńskiej w dzisiejszej Królikarni gospodyni przedstawia mu swoją kuzynkę, Zofię Chomętowską. Ona opowiada, że fotografuje, zwyciężyła nawet w konkursie „Piękno Warszawy”, on wie, że znalazł odpowiednią osobę.

Na jego zlecenie Chomętowska tworzy współczesny obraz miasta, pozornie rzeczowy, obiektywny, nie bez skazy. Jej aparat rejestruje biedne Powiśle, rozpadające się szkoły, ulice w błocie, śmieciarzy przy pracy. Tyle że obrazki te mają nie tyle obnażyć słabość rzą-

dów Starzyńskiego, ile pokazać ogrom pracy przed nim stojącej i skalę dotychczasowych osiągnięć.

Kolejnym etapem kariery Chomętowskiej jako kronikarki i propagandystki miała być wielka wystawa z okazji 25-lecia niepodległości, którą planowano w Warszawie na 1944 r. Historia dała jej zadanie o podobnym rozmachu, ale zupełnie innym charakterze. Od nowych władz dostaje zlecenia na dokumentowanie zniszczeń wojennych i zorganizowanie ekspozycji „Warszawa oskarża”. Została świadkiem nie świetności, ale upadku i odradzania się miasta.



Chomętowska z synem Piotrem, 1930 r.

Wystawa jeździ po całej Europie jako swiste oskarżenie Niemców, wojny, świadectwo heroizmu Polaków. Ale Chomętowska tym razem wychodzi poza ramę propagandy, ma swoją prywatną perspektywę. Na swoich fotografiach pokazuje wolę życia i odrodzenie miasta, które zagnieździło się wśród ruin. Na Sienkiewicza 8 zaprasza pasztecznia Na Gruzach, na Chmielnej 33 otwiera się kino Atlantic.

### Kierunek Buenos Aires

Sama je opuszcza bardzo szybko, w 1947. Wyjazdy z wystawą na Zachód wykorzystuje do nawiązywania kontaktów, w Londynie z wiera białe małżeństwo, staje się obywatelką Wielkiej Brytanii. W Polsce nic jej nie trzyma. Rodzinne posiadłości znalazły się za granicą, Warszawa to w gruncie rzeczy obce miasto, wille w Konstancinie sprzedadała tuż przed wojną. W USA czeka na nią przyrodnia siostra, jednak na bilety na statek trzeba czekać parę miesięcy. Z Argentyny odzywa się daleka rodzina. Szybka decyzja: Buenos Aires.

Trafia do zakładu ozdabiającego wachlarze, porcelanowe dzbanki, kufle. Przydają się jej rysunki brane 30 lat temu w Pochomsku, kiedy chciała zostać malarką. Radzi sobie na tyle dobrze, że zakłada własną firmę Dupont Lux. Buduje małą fabrykę, produkuje małą glazurę, ozdobne filiżanki, świeczniki, deski klozetowe.

Kiedy na chwilę zyskuje popularność w Polsce w latach 70., zapewnia, że w Argentynie nie fotografuje. Dzisiaj wiadomo, że to prawda, argentyńskie archiwum czeka na odkrycie, właściwie przypomina to polskie. Chomętowska wraca do tematów prywatnych, w których czuje się najlepiej. Poleskie powstania ustąpiły piknikom na argentyńskich plażach, wiejskie dzieci dorastającym na latkach, przystajacim córki i syna. Umiera w 1991 r., właściwie nikt z rodziny nie wie, gdzie została, zostawiła kilometry filmów, tysiące klamek bezcenne archiwum, które dopiero zaczęły się poznawać.

Nowa płyta Gossip miała ukazać się jeszcze w zeszłym roku.

Jednak wciąż nad nią pracujecie.

– To moja wina. Musiałam sobie zrobić przerwę od zespołu. Koncerty mi nie przeszkadzały, ale jeśli chodzi o pisanie nowych piosenek, miałam w głowie pustkę. Potrzebowałam przestrzeni. Stąd pomysł wydania solowej EP-ki z Simian Mobile Disco. Poza tym chciałam sprawdzić kilka pomysłów, które jeśli by nie wypaliły, posłużyły muzykę Gossip. Teraz rzeczywiście siedzimy w studiu. Praca nad poprzednią płytą „Music for Men” była jedną z najagodniejszych akcji porodowych w dziejach, wszystko poszło gładko. Dziś to już duży dzieciak ze znakomitym wynikiem, bo album się świetnie sprzedaje. Wiesz, myśl o tym, że twój singiel jest popularniejszy w takich Niemczech od „Last Christmas” Wham, to naprawdę coś!

„Heavy Cross” pobili tam wszelkie rekordy popularności...

– Cieszę się, że Gossip jest tak dobrze przyjmowane w Europie. Wszyscy mnie pytają: „Jak radzi sobie twój zespół w Ameryce?”. A ja mam to guziczek. Chcę jak najczęściej być u was! No, ale ja ci tu opowiadam, co działo się u mnie w ostatnich latach, a wiem, że za wami w Polsce trudne chwile. Jesteście zadowoleni z nowego prezidenta?

O tym opowiem ci później. Ale skoro już wywołałaś ten temat – poznałaś kiedyś Billa Clintona.

– On był wtedy gubernatorem stanu Arkansas, a ja... Cóż, miałam sześć lat. Nie wiem, co takiego jest w Arkansas, ale jeśli masz w sobie dość siły, by się stamtąd wyrwać, to znaczy, że po prostu masz jaja. To zupełnie inne dorażanie niż w Atlancie czy Nowym Jorku. Clintonę poznałam na urodzinowych uroczystościach miasteczka Georgetown. Wychowywał się w nim moi rodzice. To chyba najstarsze miasto w stanie. Ciekawe, czy Bill mnie pamięta? Chętnie podeszłabym do niego: „Hej, Bill, poznałam cię w 1987 r. Pamiętasz jeszcze Georgetown, Arkansas?”. Dużo fajnych ludzi pochodzi z tego stanu. Szkoda, że już nie udało się zorganizować zlotu tych najfajniejszych, bez Johnny’ego Casha to bez sensu...

Lista sławnych ludzi, których poznałaś dotychczas, robi wrażenie.

# Gaduła

Będę matką – ogłasza w rozmowie z Anną Gacek BETH DITTO, wokalistka Gossip. Ale jeszcze nie teraz, najpierw nowa płyta, potem koncerty. Także w Polsce



Muir Vidler/CORBIS OUTLINE

– Jest ich tylu, że sama nie pamiętam. Oczywiście wychodzę przez to na zblazowaną arogantkę. Numerem jeden na mojej liście jest bez wątpienia Yoko Ono. Jest po prostu najbardziej cool osobą na świecie! No i Nina Hagen. Paul McCartney był przeuroczy, zresztą uwielbiam cały klan McCartneyów, bo poznałam też Stellę. Jean Paul Gaultier jest prawdopodobnie najmilszym mężczyzną, jakiego poznałam w życiu. Zaprosił mnie na swój pokaz. Byłam przerażona. Targały mną dziwne myśli: „Co właściwie robi się na wybiegu?”.

Idzie?

– Też sobie powtarzałam: „Idź, po prostu idź!”. Ale taki miałam wtedy mętlik w głowie! Mam też taką teorię, że kiedy nie wolno mi się odzywać, głupieję – bo ja przecież mówię cały czas! Więc nie mówcie nigdy, że modelki są głupie – one potrafią chodzić, ja nie umiałam! Żartuję, to tak naprawdę ciężka robota. Przez te wszystkie lata nauczyłam się, że by zrobić dobre zdjęcie, trzeba naprawdę znać swoje ciało. To jest sztuka. To chcę pokazać, kiedy pozuję. Piękno to nie chuda sylwetka. To raczej to, jak rozumiesz i jak wykorzystujesz swoje ciało.

Dlatego tak często pozujesz nago do zdjęć?

Choćby na pierwszej okładce magazynu „Love”. To był zaszczyt dostać taką propozycję od Katie Grand, jednej z najważniejszych stylistek świata?

– Tak, zresztą uwielbiam Katie. Nie boi się podejmować ryzyka, a to cecha, którą cenię u ludzi chyba najbardziej. Tak też pracujemy

w Gossip. To, co się sprawdziło i działa bez zarzutu, zostaje. Cała reszta to otwarta sprawa. Robimy wszystko, na co tylko mamy ochotę, szukamy, eksperymentujemy. A ta okładka „Love” mnie jednocześnie cieszy i smuci. To wcale nie było tak, że miałam być na niej naga. Zrobiono mi mnóstwo zdjęć w najpiękniejszych ubraniach świata. Kreacja, którą zrobił dla mnie Gareth Pugh, wciąż wisi u mnie w szafie. Czy to prawda, że poproszono cię wtedy, byś jeszcze przytyła?

– Tak, to pewnie pierwszy taki przypadek w dziejach modelingu. Katie nie wiedziała, jak mi to powiedzieć, w końcu wyszeptala: „Potrzebujemy cię jeszcze większej”. Byłam zachwycona, bo myślałam, że zrobią mnie piękną, gładką i szczupłą. Wiesz, w stylu tych zdjęć, gdzie moje wałeczki są gładkie jak wyprasowane prześcieradło. Ale Katie miała inny plan.

Gossip wystąpili na ważnym dla polskiej muzyki festiwalu w Jarocinie. Zostało w tobie coś z dawnego punkowca?

– Przed chwilą wypaliłam papierosa w pokoju hotelowym. Tu nie wolno palić. Czy to się liczy? Myślę, że we wszystkim, co robię, spłacam dług moim punkowym korzeniom. Chcę, by dzieciaki wkurzały się na rzeczywistość dokładnie tak, jak robiłam to ja zapatrzona w zespoły nurtu riot grrrr. Żyję dziś w innym, uprzywilejowanym świecie, ale wciąż pamiętam gniew, jaki towarzyszył mi, gdy byłam nastolatką. To nie jest złość, którą wykrzyczysz w rytm przebojów Lady Gagi. To nie jest ból, który dzieli z tobą wszyscy ładni chłopcy grający indie. W muzyce Gossip zawsze będzie mnóstwo radości, bo kocham to, co robię, ale i cała ta wściekłość, którą wciąż w sobie mam, bo pamiętam dobrze, jak niesprawiedliwy może być świat wokół i jak rzeczywistość potrafi dopieć, szczególnie młodym ludziom.

Plany na przyszłość?

– Płyta Gossip. To plan numer jeden. A później wielkie wesele. Największe, jakie można sobie wyobrazić. No i dziecko. Ale to jeszcze nie teraz, za dobrze się bawię, by zostać mamą. I chciałabym znów przyjechać do Polski, bo świetnie gra mi się tutaj koncerty.

Autorka jest dziennikarką radiowej Trójki



# Mazury zgwałcone

Wojciech Smarzowski znów obnaża polską nikczemność. Piekło jest tuż-tuż

BARTOSZ ŻURAWIECKI

W swoim najnowszym filmie Wojciech Smarzowski nawiązuje do poetyki westernu. Główny bohater Tadeusz (Marcin Dorociński) to „przybysz znikąd”, który samotnie staje do walki ze złem. Mamy rok 1945, wojna się skończyła, ale na Mazurach – przyłączonych do Polski – jest wciąż niespokojnie. Obiektem ataków są zwłaszcza rdzenni mieszkańcy tych ziem, których zwycięzcy uważają za Niemców. Tadeusz poznaje Różę (Agata Kulesza) – Mazurkę, wdowę po żołnierzu Wehrmachtu. Pomaga jej w gospodarstwie, ale także broni przed gwałcicielami, szabrownikami i żądnym krwi motłochem.

Powojenny zamęt to odpowiednia sceneria dla opowieści o starciu dobra ze złem. Kto lubi się bawić w filmoznawcze konfrontacje, może porównać „Różę” z najsłynniejszym polskim westernem sprzed lat – dziełem Hoffmana i Skórzewskiego „Prawo i pięść”. Tam



również dzielny mężczyzna (Gustaw Holoubek) rzucał wyzwanie bandzie rzeźmieszków grasujących na Ziemiach Odzyskanych. U Smarzowskiego inaczej rozłożone zostały akcenty polityczne. Bandytami są przede wszystkim przedstawiciele nowej władzy – polscy „czerwoni” i sowieccy żołnierze.

Można kręcić nosem na nazbyt uproszczony obraz rzeczywistości: po jednej stronie barykady szlachetni autochtoni oraz nieskazitelny żołnierz AK, po drugiej – zwyrodniali żołdacy i komuniści. Trudno jednak odmówić filmowi sugestywności. Mazury – w obiektywie kamery Piotra So-

bocińskiego Jr – to nie malownicza Kraina Tysiąca Jezior, lecz bagniste piekło rodem z obrazów Bosch. Jego mroki rozjaśniają tylko krótkie sceny czułych relacji między Tadeuszem a Różą.

Wojna i władza stanowią w filmie dwie domeny męskiej przemocy, której ofiarą stają się przede wszystkim kobiety. Nie przypominam sobie, by ktoś wcześniej pokazał w kinie w tak werystyczny sposób zbiorowe i indywidualne gwałty. W „Różę” są one niczym żołnierska powinność. W fotel wbiła (jak najdosłownie) już pierwsza scena rozgrywająca się na gruzach powstańczej Warszawy.

Po „Weselu” i „Domu złym” to trzecie dzieło, w którym Smarzowski obnaża polską nikczemność. I choć tym razem podłość ma także inne barwy narodowe, to wciąż Polaka trzeba się bać najbardziej. Z każdym kolejnym filmem reżyser idzie coraz głębiej w naszą historię, jakby chciał dotrzeć do źródeł zepsucia. Aż się boję pomyśleć, dokąd dojdzie następnym razem.

\*\*\*\*\*

„Róża”, reż. Wojciech Smarzowski, Polska 2011, 94', Monolith Films, premiera 3 lutego



## Skłócona z życiem

„Mój tydzień z Marilyn” sprawi, że na nowo zakochacie się w Marilyn Monroe

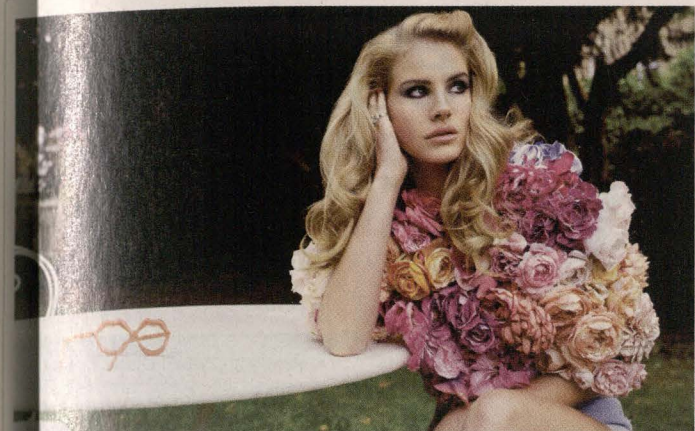
Film Simona Curtisa to kolejna próba przeniknięcia zjawiska, jakim była Marilyn Monroe. Kobieta, dziecko, inteligentny głuptasek, nadwrażliwa trzpiotka, przeciętna aktorka o niebywałej charyzmie – taki portret wylania się ze wspomnień Colina Clarka, głównego bohatera obrazu, który był asystentem Laurence’a Olivera i szybko stał się pupilem gwiazdy. Obserwujemy ją oczami Clarka, 23-latkę z dobrej brytyjskiej rodziny, marzącego o karierze w filmie. Marilyn jest najpierw dla niego boginią ekranu, potem poznaje ją

jako zagubioną, niepewną siebie dziewczynę, niekochane dziecko, traktowane przedmiotowo przez producenta i reżysera, chcących na niej zarobić. Oliver (świetny Kenneth Branagh) nazywa ją wręcz „eliksirem młodości”, który miał dać starzejącemu się aktorowi teatralnemu drugie, filmowe życie. Mimo że wszystko to o Marilyn już wiemy, choćby z opublikowanych niedawno „Fragmentów”, czyli wierszy i zapisków aktorki, wspomnień jej psychoanalityka czy wysmienitej sztuki Krystiana Lupy „Persona. Marilyn”, opowieść Curtisa wciąga. Atutem filmu staje

się więc nie jego wartość informacyjna, ale naiwne, zakochane spojrzenie Clarka na Marilyn, które jest jednocześnie perspektywą reżysera. Fantastyczna jest grająca mm Michelle Williams (nominowana za rolę do Oscara), niewyjawiająca tajemnic swojej postaci, ale budująca na nich napięcie na ekranie. Aktorka nie pyta, kim była Monroe, zgadza się na każdy trop reżysera, spełnia jego oczekiwania, będąc uwodzicielską, melancholijną ślicznotką, płynnie poruszającą się między dziecięcością i zmysłowością. To właśnie ona najlepiej pokazuje, dlaczego magia Ameryki nadal trwa.

\*\*\*\*\*

„Mój tydzień z Marilyn”, reż. Simon Curtis, USA 2011, 99', Forum Film, premiera 3 lutego



## Miss America bez korony

Czy Lana del Rey na pewno wie, dokąd zmierza?

ANNA GROMNICKA

Wystylizowana jest na zakurzone ikony kina – Ritę Hayworth i Marilyn Monroe. W dłoni nieodłączny papieros, na twarzy – wyzywający grymas gwiazd filmów Davida Lyncha. To Lana del Rey, czyli Lizzie Grant. Właśnie wydała płytę, którą miała ambicję obalić popowe królestwo Lady Gagi.

Mimo że w zeszłym roku zdążyła wydać trzy świetne single, do tej pory uwaga mediów bardziej koncentrowała się na jej ciemnozielonych lokach i silikonowych ustach. Wszyscy się zastanawiali: to produkt, wybrzyknął młody człowiek czy wielki talent? Płyta już jest, ale to niewiele pomogło: Lizzy podzieliła krytyków i opinie publiczną jak żadna gwiazda od czasu Madonny, i tak pozostanie. Prawda jak zwykle leży pośrodku. „Born to Die” to genialnie wyprodukowany album, niestety – nie do końca udany. Lana wychowała się na hip-hopie, kocha (z pewną wzajemnością) amercianę i trip-hop. I to słyhać, na przykład w „Diet Mountain Dew”, czy w „On Our Way”. Na „Radio” i „Summertime Sadness” wciąż jest sobą, może dlatego, że nadal pozostaje... zagadką? Nie wiadomo, czy kiedy śpiewa „I finally found you”, ma na myśli face-

ta, czy może sławę i uznanie, których tak zawsze pragnęła? Potem jest gorzej: w coraz słabszych tekstach powtarza się do znudzenia motyw dziewczyny, która zakochuje się w niewłaściwym facecie. Gdybym uwierzyła we wszystko, czym chce być Lana, może także uwierzyłabym w to, że niewiele różni ją od Cat Power czy Feist, które tak ceni. W genialnym teledysku do singlowego przeboju „Born to Die” próbowała nawet podsumować amerykańską popkulturę XX w. Ale w „Million Dollar Man” i „Carmen” staje się kliszą samej siebie. To jednak nic nie zmienia, ten album i tak zostanie zgrany na śmierć na hipsterskich spędach w wielkomiejskich klubach. Szkoda, już zdążyłam nawet polubić Lanę, ale taka jest cena sławy, której przecież łaknęła. Mówi, że jest gotowa na krytykę: „To, co myślę o mnie inni, mnie nie obchodzi, mimo że czasem mnie to rani. Ale muszę robić swoje”. Świetnie. Teraz czekam, co rzeczywiście ma do powiedzenia. Może na następnej płycie?



Lana del Rey  
„Born to Die”  
UNIVERSAL

## Ostatnia taka impreza

Igor Boxx zaprasza na bal na globalnym „Titanicu”

o wojnie moje miasto zremiksowano i przemianowano na Wrocław. Część dawnej zabudowy zrekonstruowano, większość dzielnic powstała jednak od nowa, a pozostałości dawnych czasów łączono z tym, co świeże i nowoczesne – tłumaczy w notce prasowej dołączonej do nowej płyty Igor Boxx, znany też jako Igor Pudło – połowa duetu Skalpel.

Dokładnie to samo wrocławski muzyk zrobił ze swoją solową płytą „Breslau”, która ukazała się kilkanaście miesięcy temu nakładem wytwórni Ninja Tune. Za pomocą baterii sampli i połączonych do nowej płyty Igor Boxx, znany też jako Igor Pudło – połowa duetu Skalpel. Dokładnie to samo wrocławski muzyk zrobił ze swoją solową płytą „Breslau”, która ukazała się kilkanaście miesięcy temu nakładem wytwórni Ninja Tune. Za pomocą baterii sampli i połączonych do nowej płyty Igor Boxx, znany też jako Igor Pudło – połowa duetu Skalpel.

Podobnie jest w przypadku tytułowego „Last Party in Breslau”, jednego z najlepszych remik-



sów z tego zbioru. Duet Przaśnik skonstruował tu frywolną ilustrację, której nie powstydziłby się Mr. Scruff – ta sama house'owa pulsacja i sekcja saksofonów zapraszająca na parkiet. Jeśli dodać do tego koronkowe remiksy, trzymających od lat poziom: Agima Dzeliliji i Magierskiego, to dostajemy do rąk taneczną pigułę o ciekawym, historycznym posmaku. Bo mimo teoretycznie bardziej imprezowego sznytu wciąż czuć tu aurę wojennego szaleństwa i trudno chwilami nie odnieść wrażenia, że to bal na globalnym „Titanicu”.

MARCIN STANISZEWSKI



Igor Boxx  
„Last Party in Breslau”  
BARCODE/ISOUND

## Szacun londyńczyku!

Dizzee Rascal liczy pieniądze, Roots Manuva dusi się w oparach marihuany, a The Streets poszedł na emeryturę. Na szczęście jest ktoś jeszcze

Dokąd raper Wiley poleciał ostatnio na wakacje i jakie miał problemy na lotnisku? Gdzie mieszka w Londynie, jak się porusza po mieście i ile pieniędzy wydaje na taksówki? Z czego żyje od dziesięciu lat, jak dobrze zarabia i kogo utrzymuje? Tego wszystkiego i nie tylko tego dowiedzieć się z kolejnego albumu Wileyego „Evolve or Be Extinct” – a dokładnie jego czwartego wydawnictwa na przestrzeni roku. Wiley jest nie do zdarcia, jako jeden z pionierów i gwiazd brytyjskiej sceny grime robi

to, na co ma tylko ochotę. Kolejny radiowy hit? Przygotujcie się na „Boom Blast”. Coś bardziej wykręconego? Może „Fire”, „I’m Skanking” albo „Weirdo”. Chcecie się wzruszyć? Sprawdźcie „Only Human”. Trudno ogarnąć wszystkie 22 kawałki za jednym razem, ale ta ilość i jakość budzą respekt.



Wiley  
„Evolve or Be Extinct”  
Big Dada/Isound



# Wiazanka pieśni bojowych

Roberto Bolano gra w faszyzm

MARCIN SENDECKI



stworczej roli literatury, a przy okazji uzmysławia potęgę pisarskiego powołania, które potrafi zawiązać życie także najdziwniejszym indywiduów. Po drugie, demaskuje najróżniejsze manifestacje „faszyzmu” (w szerokim sensie: od prawdziwego hitlerizmu przez autorytarne ciągoty do „porządku i czystości” oraz militarizm latynoskich dyktatorów) w literaturze – także w jej stricte awangardowym wydaniu. Wreszcie, operując zmianami tonu i nastroju, od anegdota o nieszkodliwych maniackach przechodząc w rejony prawdziwej grozy i immanentnego zła (jak w najdłuższym, finalnym rozdziale, który potem rozwinie w powieść „Gwiazda daleka”) przypomina o niebezpiecznych związkach liter i czynów; o słowach, które mogą obrócić się w nagą przemoc.

„Trzecia Rzesza” (powieść wydana pośmiertnie w 2010 r., ale napisana pod koniec lat 80.) zdaje się odrobinę mniej interesująca. Jest to wakacyjny dziennik młodego

Niemca Udo Bergera, który z przyjaciółką wyjeżdża na Costa Brava (doskonale znane Bolano z autopsji), gdzie jako mistrz i teoretyk role playing games opracować chce rewolucyjną strategię gry o nazwie „Trzecia Rzesza” – tak by wygrać, grając Niemcami. Najbardziej może fascynujące w tej pracy Bolano jest to, w jaki sposób zagęszcza napięcie w miarę rozwoju wypadków (i postępów planszowego pojedynku bohatera z dziwacznym, poznanym w Katalonii osobnikiem): od początkowej nudy i dobrostanu do fantasmagorycznej grozy i psychofizycznej degrengolady nieszczonego mistrza Niemiec – co być może odwzorowywać ma drogę, którą przebywa jednostka coraz bardziej opętana tego rodzaju grą.

Rzecz obraca się oczywiście wokół wiecznych kwestii konieczności i przypadku; zamkniętego oraz poddanego regułom (choć dopuszczającego element losu) świata gry (albo literatury) i „świata rze-

czywistego życia”. Owe poziomy w umyśle bohatera przenikają się nawzajem i doprowadzają niemal do obłądzenia, gdy z jednej strony próbuje on odkryć reguły tego, co mu się zdarza (a zdarza się sporo i dzieje nie „w realu” (pada oczywiście też pytanie, czy my wszyscy nie jesteśmy pionkami w grze, której nie pojmujemy), z drugiej strony poszukuje też reguł, które odrzuciłby w grze to, co nieuniknione, bo już się stało – losy II wojny. Cała ta konstrukcja jest trochę schematyczna, lecz Bolano, odwołując się do Trzeciej Rzeszy właśnie, znów stawia pytania o relacje między fikcją z jej kreacyjną mocą a tym, co dzieje się (lub stało) naprawdę. Berger twierdzi, że nie jest oczywiście nazistą, a problem, który pragnie rozwiązać, jest czysto teoretyczny, lecz kiedy zdradza swe estetyczne w istocie uwielbienie dla poszczególnych hitlerowskich oddziałów i ich dowódców, robi się trochę nieswojo. Niepokój ów sięga groteskowo-groźnego zenitu, kiedy Berger analogie między swymi ulubionymi nazistowskimi generałami a niemieckimi pisarzami „Mansteina można porównać z Goetterem Grassesem, a Rommla z Celanem. Podobnie Paulus odpowiada Traklowi” – i tak dalej.

Powiedzą państwo, że trzeba by dzikusem, żeby napisać coś takiego? Ale czyż nie dla takiej właśnie dzikości czytamy Bolano?



Roberto Bolaño  
„Trzecia Rzesza”,  
przeł. Maria  
Szafranska-Brandt,  
wyd. Muza,  
Warszawa 2011,  
s. 320, 34,99 zł



Roberto Bolaño  
„Literatura faszystowska”,  
przeł. Tomasz Pind,  
wyd. Muza, Warszawa  
2012, s. 216, 24,99 zł

## Krajobraz po bitwie

Już nikt do nikogo nie strzela. W śniegu leżą porzucone karabiny i trupy żołnierzy, niedobitki drżą z rozpacz i zimna. „The Snowfield” zadaje ci pytanie – co z tym zrobisz?



OLAF SZEWCHYK

Jestem żołnierzem nieznanego imienia. Mój mundur nie ma już znaczenia, tak jak nie ma znaczenia,

kto i dlaczego rozpoczął rzeź. Tak jakby horror bitwy przekreślił to wszystko. Nieliczni, którzy przeżyli, nie mierzą do siebie z broni. Siedzą zrezygnowani pod

kikutami drzew, błakają się zgarbieni wśród okopów i lejów po bombach, milczą lub łkają z rozpacz. Wszędzie wokół ich byli towarzysze i wrogowie, po śmierci niczym się od siebie nie odróżniający. Zwłoki zwisają z gałęzi i kolczastych zasieków, pokrywają okopy i pagórki. Spod zasp wystają kończyny, fragmenty korpusów.

Przygięty do ziemi, z pochyłą głową, ciężko powłóczę nogami. Obejmując się z zimna ramionami, podążam w stronę ruin domu, skąd bije ciepłym pomarańczem blask ogniska – jedyna latarnia nadziei wśród brudnej bieli, szarości i czerni. Wiem, że muszę tam dojść, bo inaczej zamrażę. Ekran monitora z każdą chwilą coraz bardziej zarasta szronem. W końcu słyszę trzask i mam wrażenie, jakby pękła ma zlodowaciała gałka oczna. Coraz wolniej, z coraz większym trudem stawiam każdy krok. W ostatniej chwili dochodzę do ognia i odzyskuję siły.

„The Snowfield” nie stawia odbiorcy żadnych celów, nie deklaruje zasad uczestnictwa, nie obiecuje nagród. Konfrontuje z sytuacją ekstremalną, w której trzeba samodzielnie podjąć decyzję, co zrobić. Próbuje uratować nieszczęślików z pola śmierci. Niektórzy idą za mną bez zachęty, niektórym trzeba zanieść znalezione whisky, bo w szoku błagają o sznapsa. Niektórzy po drodze, zrezygnowani, przystają, by już tam pozostać. Innych zabija mróz, bo czekali na pomoc za długo. Muszę się spieszyć. Dorzucam do ognia znalezione szczapy i karabiny, ruszam na dalsze poszukiwania. Chęć udzielenia pomocy walczy we mnie z lękiem, że oddalę się za daleko i nie zdążę wrócić. Czy inni są ważniejsi ode mnie? Czy warto aż tak ryzykować?

„The Snowfield” to eksperymentalny projekt laboratorium GAMBIT, które tworzą studenci z Singapuru i Massachusetts Institute of Technology. Ich celem w tym przypadku było, jak deklarują, stworzenie sytuacji symulacyjnej, w której narrację tworzy, improwizując, uczestnik – bez odwoływania się do narzuconego kodeksu reguł, w pełni samodzielnie podejmując decyzje. Zostawiając jednak na boku założenia architektoniczne, „The Snowfield” można odczytać jako kontestację popularnych gier wojennych. Pozornych symulacji pola bitwy, w których uczestnik jest pozycjonowany jako heros, jego sprawa jest celem nadrzędnym usprawiedliwiającym zadawanie śmierci, a ofiary odarto z człowieczeństwa, pozbawiono podmiotowości – są tarczami, nacięciami na korbie, w swojej masie miernikiem sukcesu gracza.

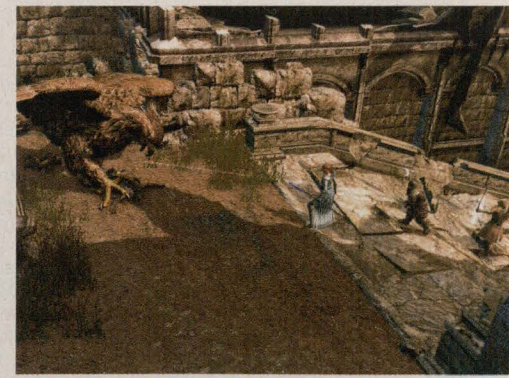
Trudno nawet postrzegać „The Snowfield” jako grę. Bez listy zasad narzuconych odbiorcy, bez ludycznego kontekstu, pozostawiając po sobie nie satysfakcję sukcesu, lecz gorycz, jest przede wszystkim testem, dzięki któremu możemy dowiedzieć się czegoś o sobie. Być może nowocześniejszą formą publicystyki. Być może propozycją artystyczną. Na pewno cennym, dla niektórych dojmującym doświadczeniem. To jeden z tych tytułów, które „Przekrój” woli określać mianem inwizów – zaliczając je nie do gier, ale do szerszego zbioru interaktywnego wideo.

\*\*\*\*\*

„The Snowfield”, GAMBIT, program przeglądarkowy dostępny za darmo pod adresem: <http://gambit.mit.edu/loadgame/snowfield.php>

## Pod okiem Saurona

„Władca Pierścieni: Wojna na Północy”, apokryf do wiadomej epopei, raczej nie przypisałiby Tolkiena o zachwyty



kumpel Aragorna siecze toporem lub mieczem i strzela z łuku, elfica czarodziejka rzuca czary i grzmoci kosturem. Zabijamy orków i inne plugastwa, przeszukujemy skrzynie, wymieniamy ekwipunek na lepszy, awansując na wyższy poziom, podnosimy wartość bojową i znów młócimy orków – popijając litry kawy, by nie zasnąć.

Tylko najbardziej fanatyczni miłośnicy wszystkiego, co choćby stało na półce obok trylogii, będą się znośnie bawić.

\*\*\*

„The Lord of the Rings: War in the North”, Snowblind Studios, dystr. Cenega, 130 zł (PC), 166 zł (X360, PS3)



# Narodziny tyranii

W każdym z nas siedzi mały, krwiożerczy bies – ostrzega Agata Duda-Grac z w znakomitym spektaklu „Według Bobczyńskiego” w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu

JACEK WAKAR

Zazwyczaj bywał na trzecim, najwyżej drugim planie Gogolowskiego „Rewizora”. Facet na posyłki, popychadło, nikt. Zwykle pojawiał się w parze z jakimś Dobczyńskim, podobnym do niego ludzkim zerem. Gotowy znosić upokorzenia, miał przede wszystkim bawić publikę. W swej adaptacji arcydzieła Mikołaja Gogola Agata Duda-Grac odkrywa inną, nieoczekiwaną twarz Bobczyńskiego. Tę, której odbicia w lustrze można by się przestraszyć.

W „Rewizorze” Bobczyński ma swoje pięć minut, gdy tłumiąc strach, zdobywa się na to, by odezwać się wprost do tajemniczego przybysza z wielkiego świata. „Mam... bardzo najniższą prośbę... Proszę jak najpokorniej... proszę raczyć powiedzieć... jak pan już tam będzie, to proszę powiedzieć tym różnym możnowładcom, senatorom, admirałom, że, właśnie, wasza ekscelencjo albo jaśnie oświecony panie, w tym miasteczku mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński. Może się trafi okazja, taka święta chwila, że i Najjaśniejszy Pan... więc proszę pokornie także Najjaśniejszego Pana zawiadomić, że w tym a tym miasteczku mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński. Przepraszam, że tak czcigodną osobę sfatygowałem swoją obecnością. Marną”. Można zagrać tych kilka zdań jak skargę na marny los



Kiedy do miasteczka przybywa Rewizor, żona Horodniczego (Ewelina Paszke-Lowitzsch) szybko zaczyna z nim romans

człowieka bez właściwości, licząc na współczucie widzów, bo przecież biedny ten Bobczyński... Można też inaczej, na przykład jako klucz do całego spektaklu. Dlaczego Pan Nikt nie mógłby rozgryźć marnoty otaczającego świata i wykalkulować sobie, że wcale nie jest od niego gorszy? Dlaczego nie miałby spojrzeć na siebie z boku i we własnych skrzywionych rysach oraz groteskowych grymasach dostrzec materiału na tego, który pociąga za sznurki? Bobczyński Tomasz Schimscheinera z pozoru jest tylko żałosny. Jednak przy bliższym poznaniu zdaje się być bratem Artura Ui ze słynnej sztuki Brechta, gorszą, bardziej poślednią wersją Szekspirowskiego Ryszarda III. Tak już bywa, że najgorsi są ci, którzy przez lata najmocniej dostawali w kość. Taki Kaligula na przykład, Hitler też miał kłopoty. Bobczyński w fenomenalnej interpretacji Schimscheinera jest cały z nich i to jest wielkie odkrycie przedstawienia Agaty Duda-Grac.

We Wrocławskim Teatrze Współczesnym gra ona z nami w otwarte karty. Nie nadużywa Gogola, bo „Według Bobczyńskiego” nie jest „Rewizorem”, a tylko widowiskiem na motywach arcykomedii autora „Płaszcz”. No i po prawdzie nie jest nawet komedią. Duda-Grac od lat czyta wnikliwie wielką literaturę, wyciąga zgodne z jej duchem

wnioski, ale już dekoracje i entourage zmienia bezceremonialnie. Wycina w autorskich scenariuszach połacie tekstu z oryginału, czasami jedne kwestie wkłada w usta zupełnie innych bohaterów, skreśla postaci, a w ich miejsce wprowadza na scenę nowe. W najnowszym spektaklu choćby Tego Niemca (Maciej Tomaszewski), który cały czas recytuje w swym ojczystym języku Nietzschego. Dlaczego tak? Może dlatego, że przychodzi chwila, gdy Ten Niemiec pojawia się z charakterystycznym wąsikiem... Reżyser z Krakowa zbudowała już własny teatralny świat i teraz zaprasza doń mistrzów. Śledzę od lat jej przedstawienia i z ulgą stwierdzam, że nie zasklepiła się w hermetycznych odniesieniach, nie proponuje sztuki dla garstki wybrańców, ale dba o jej komunikatywność. Wrocławski spektakl nie jest powtórką z obecnych już u Duda-Grac tematów, ale wnosi do jej teatru nową barwę. Więcej – to jedno z najlepszych jej dzieł, co zawdzięcza również doskonałemu zespołowi Teatru Współczesnego. Ma Duda-Grac intuicję i ma chyba szczęście. Z powodzeniem pracowała w łódzkim Teatrze Jaracza, teraz znalazła swoje miejsce we Współczesnym we Wrocławiu. Z takim zespołem aktorskim jak ten łatwiej o sukces.

W Łodzi właśnie, trochę ponad dwa lata temu, zrealizowała swe

pierwsze inspirowane Gogolem przedstawienie – „Według Agafii” na motywach „Ożenku”. W nim, bez znieczulenia, przeprowadziła wiwisekcję rodziny, miłości, seksu. „Według Bobczyńskiego” można uważać za rewers tamtej inscenizacji, tym razem jednak na celowniku znalazło się społeczeństwo. Dlatego na scenie zobaczymy mieszkańców miasteczka („same świniarskie ryje” – by zacytować autora), ale za braknie Chlestadkowa. Każdy z tych ludzi ma swego rewizora, każdy w przestrachu i uniżeniu układa sobie jego obraz. Rewizor jest zatem u Duda-Grac nie tyle realną postacią, co widmem, skroploną grozą, sprawiającą, że ludzie zapominają o tym, że są ludźmi, a na gruzach dawnego porządku może narodzić się tyrania. Wtedy do głosu dojdzie Bobczyński i jemu podobni. Tyle że tego już nie zobaczymy, bo spotworzyła świat tego widowiska zdechnie w konwulsjach razem z bohaterem.

„Według Bobczyńskiego” to teatr mocny i bezkompromisowy. Chwilami budzi grozę, aby za chwilę przekuć ją śmiechem. Czasem bywa aż nadto wyrazisty, gdy reżyserka każe aktorom nucić fascystowskie przyspiewki i religijne piosenki. Ale to działa, rozbija napięcie, pozwala aktorom złapać kontakt z widownią. Agata Duda-Grac powściągnęła tym razem swe inklinacje do teatru plastycznego, rozgrywając całość na niemej, pustej scenie. Jej głębię zmienia światło, projektowane doskonale przez Katarzynę Łuszczczyk. Niczym plastyczne znaki są też aktorzy, fantastyczni w ansamblu i solowych partiach. Krzysztof Kuliński, Ewelina Paszke-Lowitzsch, Katarzyna Z. Michalska, Irena Rybicka, Maciej Tomaszewski, Piotr Łukaszczyk, Krzysztof Boczkowski – powinienem przepisać cały afisz.

„Według Bobczyńskiego” to także ich zwycięstwo.



„Według Bobczyńskiego” na motywach Gogolowskiego „Rewizora”, przekład Jan Trybutowicz, scenariusz, reżyseria scenografia i kostiumy Agata Duda-Grac, muzyka Jakub Ostaszewski. Wrocławski Teatr Współczesny

# Spotkania

Diane Arbus fotografia bez fotografii

KUBA DĄBROWSKI

Nowy Jork, koniec lat 60. Diane Arbus zarabia, fotografując modę między innymi dla magazynu „Harper's Bazaar” i portretując dzieci manhattańskiej society. Rodzice (nazwisko rodzinowe ojca – Nemerov) prowadzą ekskluzywny dom towarowy przy Piątej Alei, ich flagowym produktem są futra.

Diane dorasta przy Central Park West, wśród służących i według zasad dobrego, ale surowego żydowskiego wychowania. Kiedy zapragnie zostać fotografką, rodzice ułatwiają jej zawodowy start – zaczyna robić zdjęcia do katalogu rodzinnej firmy. Później pojawiają się zlecenia z magazynów i od znajomych. Arbus wykonuje swoją pracę sumiennie, ale nie widzi w niej większego sensu. Wieczorami, nocami i w wolne dni

fotografka wychodzi na miasto ze swoim dwuobiektywowym rolleiflexem i rozpoczyna poszukiwania, jak sama mówi, „dziwaków”: transwestytów, karłów, olbrzymów, kalek i zwykłych ludzi, ale ze skazą.

Słowo „dziwacy” nie ma w jej słowniku negatywnego zabarwienia. – Jeżeli zdarzyło ci się rozmawiać z kimś, kto ma dwie głowy, to zdasz sobie sprawę, że taki ktoś wie o świecie coś zupełnie innego niż ty – tłumaczy. – Całe nasze życie to wysyłanie społecznych sygnałów, odgrywanie ról. Istnieje konflikt pomiędzy tym, co chcesz, żeby ludzie o tobie wiedzieli, a tym, co byś chciał, ale czego nie jesteś w stanie przed nimi ukryć. Wszyscy cierpią z tego powodu, ale dziwacy rodzą się z tym cierpieniem i wykluczeniem. To jest dla nich naturalny stan rzeczy, są w związku z tym ponad tym.

Arbus nie interesują szybkie spotkania z modelami, chce poznać fotografowanych ludzi, zaprzyjaźnić się z nimi, zabrać dla siebie kawałek ich energii. – Aparat jest dla mnie przepustką do znajomości – opowiada. – Gdyby kierowała mną jedynie ciekawość, ciężko by mi było ot, tak powiedzieć komuś obcemu: „Chcę przyjść do ciebie do domu, zrobić ci zdjęcia i wysłuchać historii twojego życia”. Pomyśleliby, że mi odbiło, i na pewno nikt by się nie zgodził.

Dla fotografki najważniejsze jest spotkanie, robienie zdjęć stoi na dalszym planie. Arbus cały czas opowiada znajomym o swoich wizytach w podejrzanych spelunach, tanich hotelach i czynszowych kamienicach, o przygodach i całonocnych rozmowach. Fotografia to jakby trofeum z tych spotkań. Nie liczy się estetyka. Jej zdjęcia są proste i naturalne – kompozycje centralne, światło albo zastane, albo z przymocowanego do aparatu flesza. Krytycy z uznaniem piszą, że nie ma tu fotografii, jest po prostu czysta emocja. Mówi się, że Arbus na nowo odkrywa fotografię jako medium, zapomina o jej ciągłości do naśladowania innych dziedzin sztuki czy społecznej misji. Wraca do niewinnych korzeni.

26 lipca 1971 r. Diane łyka garść barbituranów i podcina sobie żyły. Rok później Stany Zjednoczone pokazują jej prace w swoim pawilonie na weneckim Biennale, a nowojorskie Museum of Modern Art otwiera retrospektywę.





W amerykańskich filmach barman prosi klientów, aby wybrali swoją truciznę. Morey Talmor proponuje odtrutki



## ŁADNE RZECZY

# Lek na całe zło

Do tematu zmian i wzornictwa podchodzimy z aptekarską dokładnością

## OLA SALWA

**N**ie trzeba być intelektualnym Kolumbem, aby odkryć, że jedyną stałą nowoczesnego świata jest zmiana. Wystarczy się rozejrzeć. Zresztą wszelkich nowości wyczekujemy jak gwiazdkowych prezentów i przyjmujemy je z szeroko otwartymi ramionami. Albo oczami – szczególnie podczas wiosennych i jesiennych tygodni mody.

Trendy kojarzą nam się z odrodzeniem i nadzieją, że w nowym życiu będziemy skrzyżowaniem Steve'a Jobsa ze Scarlett Johansson/Bradem Pittem. Niestety, mimo ciągłych dostaw do szafy ta transformacja nigdy się nam jeszcze nie

Niech stanie się jasność  
– najpierw w naszym  
wnętrzu, abyśmy mogli nią  
emanować na wszystkie  
strony świata



udała, ale nie frustrujemy się, bo zanim nadzieja ginie, pojawiają się w modzie i wzornictwie nowe trendy, więc nie musimy krytycznie patrzeć w lustro. Dzięki nieustającej zmien-

ności udaje nam się zapomnieć o tym, że od miesięcy (lat?) tkwimy zaplątani w sieć starych nawyków i to one właśnie uniemożliwiają nam realną przemianę. Przyzwyczajenia zresztą mają różny stopień szkodliwości życiowej: konieczność picia kawy tylko w ulubionym kubku to nieszkodliwe dziwactwo, podobnie jak siedzenie w kinie zamiast po lewej stronie ekranu. Są też uzależnienia większego

Najważniejsza jest instrukcja obsługi: Talmor nie zapomniał o niej i zaprojektował eleganckie książeczki uzupełniające kurację odwykową

# Japońskie buciki

Czyli czy moda plus  
architektura równa się  
tortura. Odpowiada  
projektantka obuwia  
Kei Kagami



**D**ziwne buty stworzone przez Japonkę wyglądają jak eksponaty z muzeum mody. Albo tortur. Kagami twierdzi jednak, że inspirowała ją architektura, a nie na przykład hiszpańskie buty. Co więcej: jest przekonana, że zaprojektowane przez nią pantofelki można nosić, choć – dodaje z oczywistą ironią – nie są tak wygodne jak słynne niebotycznie wysokie platformy Vivienne Westwood. Te, w których swego czasu pocięła na wybiegu modelka Naomi Campbell.

Na pewno krok w takich butach będzie inny niż w klasycznych czółenkach, bo Kagami zamiast tradycyjnych obcasów stworzyła metalowe konstrukcje lub przeniosła ciężar buta na przednią część podeszwy: wszystkie metalowe płytki mają zapewnić równowagę chodzącym. Pełną kolekcję można obejrzeć na stronie [www.steinbeisser.org](http://www.steinbeisser.org).



## KRZYŻÓWKA NR 5

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązanie.

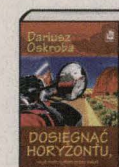
**POZIO MO:**

1. MA MAMĘ I TATĘ
7. PRACUJE W BANKU
8. PICIE GUMY
9. CHŁOPCY DO BICIA
10. NIJAKA PORĄŻKA
12. LISTA PŁAĆ
14. BEZ PRZERWY
17. DO PRACY, RODACY!
18. MIEJSCE SIEDZĄCE  
W WAGONIE
19. NA SEN

**PIONOWO:**

2. STADO, O KTÓRYM SIĘ  
NIE MÓWI
3. ŁĄCZY SIĘ ZE ZŁOTEM  
I DEWIZAMI
4. IDZIE NA LUFĘ
5. W ŻŁOBIE LEŻY
6. POWIEKSZA JĄDRA
7. PO OWCAH  
JĄ POZNACIE
11. BIAŁE U MURZYNA
13. KRZYCZY  
NA ULICY
15. Z CHEMIĄ NA TY
16. ODSZEDŁ ZE SZMATĄ

Nagrodą w tym tygodniu jest książka Dariusza Oskroba „**Dotrzeć do horyzontu, czyli motocykłem przez świat**”, [www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

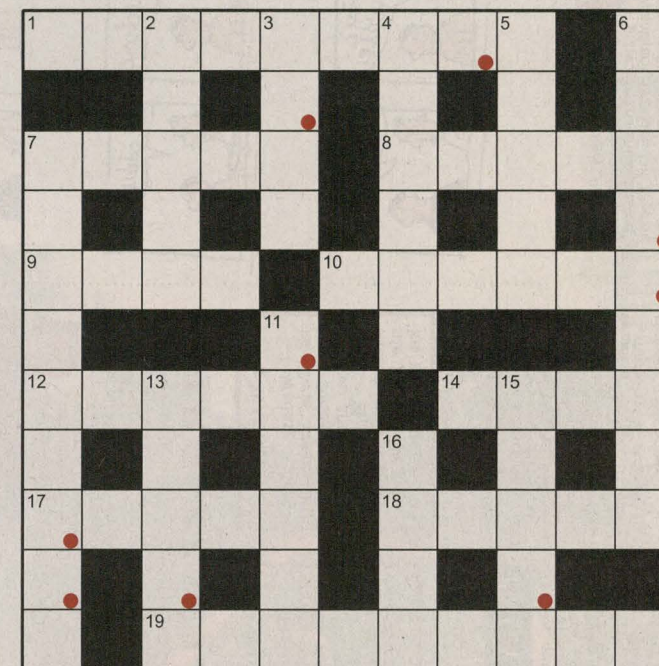


Wygraj jedną z 10 książek.  
Rozwiąż krzyżówkę i prześlij  
do nas hasło.

Wyślij sms o treści  
**PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI**  
na numer 7243.

Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul.Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 5”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 5 lutego 2012. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul.Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe mogą być udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



## ROZWIĄZANIA Z NR. 3

**Krzyżówka: PAN PODSTOLI**

**Poziomo:**

1. \*\*\* – PORUCZNIK
7. KONIEC PRACY KASJERA – MANKO
8. SPOJRZENIE NA AKT – WGLĄD
9. NOGI Z DUPY POWYRYWA – RĘKA
10. KSIĄŻKA Z OBRAZKAMI – KLASER
12. WPUSZCZA WIATRY – LUFCIK
14. KOPIE W KSEROKOPIARCE – PRAJD
17. IZBA PRZYJĘĆ – SALON
18. MASZ GO WE KRWI – NAWYK
19. MATERIAŁ NA TEKST – TEKSTYLIA

### Pionowo:

2. CZAS PANTOFLE – RANEK
3. ZAPCHAJDZIURA – CZOP
4. N JAK MIŁOŚĆ – NOWELA
5. Z GŁOWĄ W CHMURACH – KOŁOS
6. W KÓŁKO GOLONY – PODBRÓDEK
7. CO SIĘ NAPRAWI – MORALISTA
11. TRAWA, STRAWA I ZABAWA – PIKNIK
13. QUICIE PROF. FLUTKA – FILUT
15. POLSKI ROSJA – RYWAŁ
16. DZIEŁO WYPALONEGO AUTORA – KNOT

**LAUREACI Z NR. 2**

**Maria Dziamba**, Tarnobrzeg; **Jadwiga Gerant**, Warszawa; **Celina Grabias**, Korczów; **Tomasz Hajdas**, Płońsk; **Anna i Paweł Pojadowie**, Rybnik; **Tomasz Pokrzywniak**, Poznań; **Halina Rycio**, Frombork; **Roman Sobera**, Łęknica; **Wanda Woźniak**, Dzierżoniów; **Colette Zielińska**, Bielsko-Biała

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

• [WWW.FACEBOOK.COM/WILDSUPERBOHATER](http://WWW.FACEBOOK.COM/WILDSUPERBOHATER)

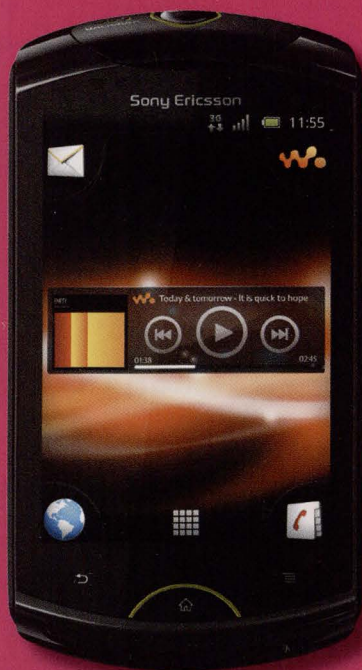








# Gwarancja najniższych cen smartfonów.



Sony Ericsson Live with Walkman™



Nokia 500



Samsung Galaxy Y

## Najtańsze smartfony przeszły do T-Mobile. Przejdź i Ty!

Przyjdź do salonu T-Mobile i zapytaj o ofertę Mix na liczbę doładowań, a przekonasz się, że Twój wymarzony telefon jest w najniższej cenie na rynku. Jeżeli znajdziesz wybrany model taniej w innej sieci, dostaniesz od nas rekompensatę.

Chwile, które łączą.



Informacja aktualna na dzień 04.01.2012. Gwarancja najniższej ceny albo rekompensata. Dotyczy ofert ogólnodostępnych w fizycznych punktach sprzedaży. Dotyczy oferty Mix na liczbę doładowań w T-Mobile dla nowych aktywacji. Najniższa cena w danym zobowiązaniu miesięcznym i dla danej liczby doładowań. Nie dotyczy cen niepromocyjnych, cen poniżej 1 zł oraz telefonów, które w wykazach cenników telefonów T-Mobile są w ograniczonej dostępności. Warunki rekompensaty oraz pozostałe szczegóły oferty w Warunkach Oferty Promocyjnej, dostępnej na [www.t-mobile.pl/Gwarancja](http://www.t-mobile.pl/Gwarancja) oraz w sklepach T-Mobile.